№ 27. Warszawa, dnia 25 Czerwca (7 Lipca) 1883 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.- Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Z DZIEDZINY POEZYI.

Szkic literacki

E. ZORYANA.

(Dalszy ciąg.)

Piąty obrazek, zatytułowany „Z wiejskiej szkółki" przedstawia smutną dolę nauczycielki, osamotnionej na tej niwie oświaty, na którą rzucała dobre ziarna w nadziei obfitego plonu, lecz go się nie doczekała. Sieroca to dola takiej ofiarnicy, a jednak i szczęsna zarazem — nad mogiłą zmarłej nauczycielki płaczą serca uczenic i uczni...

Ostatni obrazek, jaki w pierwszym tomie znajdujemy poświęcony doli sierocej — „Bez dachu". Straszne to słowa. Iluż to takich nieszczęśliwych, co głowy nie mają gdzie złożyć. Temat to dla Konopnickiej doskonały. Snuje ona z niego myśli splot bogaty, a wszystkie do głębi poruszające duszę. Przed oczami czytelnika roztacza obraz nocy pięknej, a zimnej. Sierota bez dachu, szuka schronienia, nie ma gdzie przytulić swych skostniałych, niczem nie okrytych członków. Domy pozamykane, więc może kościół da na tę noc zimną schronienie.

...lecz kościół szczelnie był zamknięty,
Razem z litością i z Bogiem.

Mróz też nie miał litości, biedna sierota musi ginąć z głodu i zimna wśród modlitwy...

Obraz to, co prawda okropny, zakończony z goryczą i bólem. Lecz nie brak mu prawdy. W ogóle musimy zwrócić uwagę, że Konopnicka lgnie do obrazów smutnych, tragicznych. Lecz nie o tę głośną bohaterkę, jej idzie o tragiczność, ona szuka dla swej poezyi innej, cichej, nieznanej często ludziom, a niemniej prawdziwej pełnej grozy.

W tomie drugim znajdujemy również sześć obrazków: „Czy zginie?", „Jaś nie doczekał", „Dwie wiosny", „Z szopką", „Na dnie przepaści" i „Chłopskie serce". Ton tu ten sam, co i w poprzednich, jakkolwiek w ogóle znacznie są słabsze. Wziąwszy sobie za motyw słowa:

Życie bezwstydu jest wobec nędzarzy.

Rozsnuwa tu autorka obrazy posępne, bez wiary niemal. Malując nędzę ludu przebiera poetka czasem miarę w używaniu koloru czarnego. Szukając cieni i nędzy i głodu i chłodu, przechodzi Konopnicka miarę; wszyscy jej bohaterowie mają być przedstawicielami ludu gnębionego i zapoznanego.

A jednak i ta czarna fantazya ma wiele uroku, pociąga ku sobie, jak głębokie wód odmęty. Taki obrazek, jak „Na dnie przepaści", przedstawiający upadek kobiety wstrząsa do głębi czytelnika, nad „Chłopskiem sercem" można istotnie płakać.

W tłumie, na mrozie, stanęła pod ścianą,
Okryta starą mężowską sukmaną.

* * *

Posępna rzecz jest ta siwa siermięga,
Przesiąkła potem i łzami i zdarta,
Na zgiętym w pracy i niedoli grzbiecie
Nędzarza, który nigdy z ciemności nie sięga
Do światła, żadną ożywczą nadzieją.

Pół dnia tak stała nieporuszona i wzrokiem błyszczącym i suchym patrzyła przed siebie na drzwi zamknięte. Tam, za tymi drzwiami syn jej wyciągał los do wojska. Drzwi otwarto, zobaczyła swego Jaśka.

Poszedł w milczeniu; był gibszy i bladszy,
A łzy, co kiedyś pod sercem zaległy,
Wielkie i słone, po licach mu zbiegły.
—„O matko!" — „Nie płacz! pan Jezus prze- [mieni...
Tyś głodny; weź to, posil się na drogę..."
Chleb mu podała; wyjął nóż z kieszeni,
Odkroił kęsek i szepnął: „nie mogę!
Nie mogę, matko, sam!..." jak chusta zbladła,
Lecz rozłamała chleb — i z synem jadła.

Wydano ostanie rozkazy, marsz zabrzmiał. Matka nie płakała, patrząc na drogę, którą mieli iść rekruty.

Nagle jak gdyby zawiodła ją siła,
Syna rękoma za piersi chwyciła...
— Dziecko... krzyknęła raz tylko —i zbladła,
I zatoczyła się — i martwa padła.
Mówiono, że jej pękło chłopskie serce.

Dwanaście obrazków, pod ogólną nazwą: „Na fujarce" mają nutę raźniejszą, a choć i tam czasem gorycz się przebija — np. w dziesiątym powiada autorka, że gwiazdy świecą tylko dla pana we dworze, dla księdza i organisty, a nie dla chłopa... to jednak firmament pogodniejszy, więcej otuchy do życia, na czem liryka tylko zyskuje.

Inny wieniec obrazków zatytułowała autorka: „Z łąk i pól". Trzy ścieżki, powiada, wiodą z chaty wieśniaczej: do pracy na pański łan — do karczmy i — na cmentarz, „a któż im wskaże taką, co w świat ducha prowadzi...?"

To jest punkt wyjścia Konopnickiej, który nieraz wiedzie aż do pessymizmu. Malując niedolę,

nie ma oka na dolę, nie odczuwa promiennej strony życia. Wtedy ogarnia ją zwątpienie.

A tego strzedz się nam należy — śpiewać je i przelewać w dusze i tak zbolałe nie jest dobrem. Nam potrzeba pieśni wiary i nadziei. Nie myślę przeto, ażebyśmy ciągle różowe tylko śnili wstęgi życia. Złuda ich wnetby się odkryła — ale obok realistycznej prawdy życia, poeta wielki powinien mieć ideę świetlaną, co jak słońce złotymi blaskami opromienia dolę i niedolę, łzy i uśmiechy.

Ile razy w tę strunę Konopnicka uderzy, moglibyśmy mieć żal do niej. Lecz nie zapominajmy, że to autorka tendencyjna, która wie dobrze, iż blade słowa i obrazy nie poruszą nikogo. Więc, chcąc skutecznie służyć sprawie społecznej musi czasem szarpnąć serce i wydrzeć z piersi krzyk bólu. Autorka wyraźnie powiada, że dąży:

Oj nie do was, róży stolice,
W blaskach złota i w purpurze

. . . .

Ale do was, nędzne chaty,
Pola smętne i jałowe.

Czasem zresztą zagra weselej:

Nie sprzedam ci roli!
Weź niemcze talary...
Kto ziemię przedaje
Nie naszej ten wiary...

W „Łzach i pieśniach" obok przewijającej się nuty tęsknej i łzawej są wyraźniejsze tempa, od których gra serce, dusza się ożywia, fantazya ulatuje po nad uroczą wioskę, w której słonko piękniej świeci, aniżeli w bogatych stolicach.

Czuje Konopnicka, że czasem zbyt bólem przepełnione jej pieśni, więc woła:

Jeślim zgrzeszyła — Ty sam wiesz o Panie!
Że serce moje nakształt harf pękniętych,
Łez zawsze pełne — i jęków — i krzyków —

a pragnienia swoje zaznacza wyraźnie mówiąc: „zeszlij nam Boże — raczej powódź, głód i pożogę, lecz odejm ducha nienawiści."

W dotychczas przytoczonych utworąch Konopnickiej, tendencya jej występuje obrazowo, jeśli tak rzec wolno, praktycznie. Znajdziemy obok nich cały szereg innych, wypowiadających dążność wprost teoretycznie. Znamy ją już po części z obrazków, w utworach filozoficznych, moralnych i społecznych, uwidocznia się pewne niezdecydowanie, wynikające z podobnego stanu społeczeństwa:

Kto idzie — nie wie gdzie dąży, kto czeka,
Nie wie dlaczego?
Ciemną jest, straszną, ta droga daleka,
Gdzie ludy biegą.

Obok jasnych błysków, spotykamy u Konopnickiej nieraz myśli rzucone chaotycznie. Szarpanie się ducha powstaje widocznie z wielkich pragnień a nieznajomości drogi. Wzniosłe cele nie zawsze zdołają oświetlić przepaścistych, we mgle pogrążonych manowców.

Fragmenty, pomieszczone w drugim tomie, bogate są w myśli, których poetka rzuca wiele — lecz nie porządkuje ich należycie. Rzecz przez to staje się ciężka. Forma co prawda ponętna, wytworna, porywa swą harmonią, lecz pomimo tego skupienie ducha nie jest możliwe. Brak jasnego sformułowania czego autorka pragnie.

Widzieliśmy już z jaką miłością Konopnicka śpiewa niedolę ludzi, w *Fragmencie VIII* powiada wyraźnie:

W prawo i w lewo odrębne dwa światy,
Lecz droga moja ni w lewo ni w prawo,
Ja idę prosto do biednej tej chaty,
Co nędzą swoją odbija jaskrawo
Od głośnych haseł, rozdwojeń i kłótni.
Idę gdzie ziemia pustą jest i łzawą,
Gdzie jęczą ludzie skrzywdzeni i smutni.

. . . .

A ten, kto niesie krzyż razem z nędzarzem
I wierzy w świty przyszłości — ten święty!
A każda boleść jest dla mnie ołtarzem;
A sprawiedliwość — najczystszą ofiarą!

Z słów tych bije wiara, która w tak szlachetnie tendencyjnej autorce, jak Konopnicka, jest konieczną, jest złotym promieniem w pośród ciemności łzawej i smutnej. I wypisalibyśmy słowa powyższe w złotą księgę poezyi, gdyby autorka została wierną temu wyznaniu wiary. Tak wszakże nie jest, bo na innem miejscu czytamy:

Cóż światu pomoże,
Choćbym go skarg mych wstrzęsła huraganem?...
— Smutno mi tylko, żeś Ty wielki Boże,
Całej tej nędzy jest panem!

albo:

Ah! czy wy myślicie,
Że tam wysoko, w tym cichym błękicie,
Jęk wasz odbity od gwiazd złotych proga,
Zakłóci spokojność Boga?

. . . .

O świat zbyt wielki! wy na nim zbyt mali!
Choćbyście łzami krwawemi płakali,
Nic się nie wzruszy — i nic się nie zmieni,
W wiecznie pogodnej przestrzeni!

Krzyk uciśnionych nędzarzy nie sięga,
Gdzie nieskończoność atomów ruch słyszy...
Żaden głos do was nie ozwie się w ciszy:
Milczenie — bogów potęga.

To już trąci niewiarą, a co najmniej zwątpieniem. Lecz nienależy bynajmniej sądzić, że nuta ta trwale będzie się odzywała w poezyi Konopnickiej, to tylko wynik żałości, która uczucie wiary mąci chwilami, ażeby znowu ustąpić nadziei. Wte dy poeta woła „do młodej braci":

Duchy młodzieńcze niech idą na przodzie!
Niech tory biją przed braćmi ciemnymi,
Niech będą świtem i jutrznią tej ziemi —
I wyciągniętą po światło prawicą...

. . . .

Dziś samym walczyć nie można zapałem:
Myśl przekruj w słowo, a słowo zrób ciałem!
Siej za swym pługiem nie mary, lecz czyny;
Przyszłości jasnej ukochaj dziedziny —
I bądź ciśniętą nowy rękawicą...

Niepodobna nam szczegółowo rozpatrywać wszystkich utworów Konopnickiej; jest ich bardzo wiele, a nie mało pięknych. Uważaliśmy za stosowne położyć główny nacisk na te, w których się przebija tendencya autorki, a dodajmy, tendencya bardzo żywotna, stanowiąca połowę istoty dzisiejszych prądów społecznych. Dlatego to musimy pominąć takie utwory, jak: „Opowiadanie rannego", „Po burzy", „Tarcza Scypiona", „Klaudya", „W górach", „Romans wiosenny" (na podobieństwo arcydzieła Słowackiego „W Szwajcaryi"), „Noce letnie", „Mojżesz", „Wieczorne pieśni", „Na fujarce" i wiele innych, a przypatrzmy się jeszcze bliżej „Fragmentom dramatycznym".

(D. n.)

POKRZYWA.

Wyrokiem przeznaczenia na ziemię rzucona,
Żywot nieużyteczny pędzę smutna, cicha,
Dotknięcie moje rani, mój widok odpycha,
A tchnieniem mem owiane, dobre ziarno kona.

Wspaniałe kwiaty na mnie patrzą pogardliwie,
Gdzie rosnę, nigdy owad ni człowiek nie wstąpi,
Tylko mi pogodnego uśmiechu nie skąpi
Słońce, co równo świeci róży i pokrzywie.

O! gdybym miała wdzięki i barwy różane
I tę woń którą czasem zefiry mi niosą,
Poiłabym się wiosną i poranną rosą:

Lecz uroki majowe nie dla mnie zesłane,
A kiedy mi w dzień skwarny przyjdzie paść pod kosą,
Bez skargi i bez żalu z życiem się rozstanę!

Emilia

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Stanisław przeczytawszy list Stasi podał go Mateuszowi.

— I cóż zrobisz? — zapytał sędzia, poznawszy jego osnowę.

— Spełnię! — odrzekł krótko Stanisław.

— A Długosze?

— Długosze? Niech żyją w swem samolubstwie...

— I gniją — zawołał sędzia. — Nie powiedziałem ci bowiem, że pan Władysław zaraz po rozwodzie, przed samą śmiercią Stasi, ożenił się natychmiast z bardzo bogatą wdówką bezdzietną i tak się uwinął z jej i swoim majątkiem, że już jest na drodze zupełnego bankructwa. Ratuje go od tego jedynie starsza rodzona jego siostra pani Smirska, dziś wdowa, bogata, chciwa i skąpa jak dwóch Harpagonów, ale gdzie idzie o podniesienie znaczenia rodu Długoszów, tam w ofiarach niewyczerpana. Na żebraka więc pan Władysław nie wyjdzie, ale na bankruta to więcej jak pewno,

chyba że się ożeni bogato po raz trzeci, bo jest wdowcem do wzięcia.

W kilka dni później, Stanisław rozwinął starania o wynalezienie Józia i nie wiedząc, że tuż znajduje się przy nim, przeprowadził korespondencyą z wójtem gminy osady Bociagów, później z proboszczem w Przetykach: z pułkownikiem, który na stałe we Lwowie się osiedlił i dopiero zaledwie po całorocznych szperaniach i wywiadywaniach się, dotarł do mieszkania Jana.

Chłopczyna podobieństwem swem odrazu ujął go za serce, i choć zastał go razem z Grzesiem przy szewckim warsztacie, zwrócił się do niego natychmiast nazywając po imieniu.

Józio już miał wówczas lat jedenaście, był dobrze rozwinięty, wzrostem prawie dorównywał starszemu znacznie od siebie Grzesiowi, tylko był szczuplejszy i nie miał jak on wyzywającego spojrzenia i tych różnych narowów cechujących uliczników warszawskich.

Kiedy zobaczył obcego pana, nazywającego go po imieniu, zmieszał się i ledwo wybąkał, że rzeczywiście jest Józefem Długoszem.

Wynikło to z trwogi, wywołanej radą dziadka Jana, aby unikał zbliżania się do siebie pań i panów nieznajomych, jako kryjących może zdradę pod płaszczykiem udanej życzliwości.

Tem samem przekonaniem natchniony był Grześ nawet panna Salomeja i szewc Mateusz poniedziałkujący jak zwykle dawnym obyczajem. Gdy Stanisław zawołał na Józia po imieniu i ze szczególną życzliwością wyciągnął do niego rękę, jakby chciał go wziąć w swoje objęcia, wszyscy przestraszyli się i Salomeja z Grzesiem wystąpiła naprzód, Józia chowając za siebie.

— A pan co chce od naszego Józia? — zapytała opryskliwie Salomeja. — Józio z panami nie ma nic do czynienia, proszę sobie odejść od nas...

— A tak, proszę odejść — domówił zaraz Grześ — bo pójdę po policyanta.

Stanisław spojrzał na mówiących jak na waryatów i zaledwie mógł objaśnić, że nie ma względem chłopczyny żadnych złych zamiarów, ale przeciwnie, iż chce zająć się dalszem jego wychowaniem jako opiekun przez zmarłą jego matkę naznaczony.

Nie uwierzono mu, owszem oświadczenie to z większem jeszcze jak wprzódy przyjęto podejrzeniem.

Tę samą przeprawę miał i z Janem i nieprędzej uzyskał jego zaufanie, aż go zapewnił przyjaciel pułkownika major, że o bezpieczeństwo Józia nietylko może być zupełnie spokojny, ale winien cieszyć się, że mu Opatrzność takiego dała opiekuna.

— Niech się kochany pan nie dziwi memu niedowiarstwu — rzekł Jan — ale od pewnego czasu jakieś nieznane osoby zwróciły na Józia uwagę, co mnie bardzo zaniepokoiło. W ogródku podczas zabawy jakaś pani zbliżyła się do chłopców i ciekawie się o Józia wypytywała: później przyszedł jakiś pan do nas bogato ubrany, niby to dla obstalunku, a wszystko się skończyło na gawędzie o Józia. Chciał go wziąć z sobą ale oparto się temu a ja żałowałem, że nie byłem w domu, bo bym go do policyi oskarżył. Kto wie co byłby z nim zrobił, może gdzie udusił cichaczem...

— Jakże ci się mogła podobna myśl nasunąć...

— Na świecie różnie bywa — odparł Jan. — Dla utrzymania znakomitego swego imienia i fortuny bez podziału, wszystko dobre co do tego prowadzi. Nasłuchałem się tego dosyć, to nic dziwnego, że się bałem, aby na chłopczynę nie spadła jaka bieda.

Józio przeniósł się na mieszkanie do Stanisława. Był on już patronem, praktyka szła bardzo dobrze i zapowiadała w przyszłości bardzo świetne widoki.

Przy pożegnaniu z Józiem, Salomeja żałowała go jako potulnego chłopca, który nikomu wody nie zamąci. Grześ jako towarzysza, którym do wolnie mógł komenderować, a majster szewc jako pojętnego ucznia, który choć bez terminu a więcej umiał od Grzesia.

— Ej! żeby to kto chciał mi wziąć Grzesia — odezwał się majster — to dopierobym się ucieszył.

— Albo to prawda? — odrzekł Grześ. — Pan majster beze mnie i dnia by nie wytrzymał, słowo honoru!

— Widzicie, jaki mi skarb nieoceniony! — zawołała Salomeja uśmiechając się żartobliwie. — Gagatek nielada!

— Panna Salomeja zawsze na mnie narzeka — odrzekł Grześ z powagą o ile mógł największą — a założyłbym się o garniec ulęgałek, że gdyby była mężczyzną toby zaraz poszła za mnie.

— A ty chunctwot! — zawołała Salomeja uderzając go w kark pięścią — będziesz sobie ze mnie żarciki stroił?

Jednocześnie majster równie żartobliwie machnął go w plecy pocięglem.

Józio odchodząc ucałował Salomeję i szewca w ręce a z Grzesiem uściskał się obiecując że do nich będzie zachodzić czasami. Jan go odprowadził na nową siedzibę.

Józio rozpoczął więc nowe życie. O rodzie Długoszów, o ojcu który go odrzucił od siebie, nic mu nie mówiono, tylko o matce wspominano często z wielkim nad nią żalem i boleścią. Pod opieką tak doświadczonego człowieka jak Stanisław, który prawnictwo przyjął tylko dla chleba, a właściwie powinien być zostać pedagogiem, Józio stawał się z dniem każdym niemal coraz rozważniejszym, coraz więcej myślącym i coraz bardziej pojmującym pożytek nauki. Otoczony wszelką pomocą zdolny i pilny, postępował szybko we wszystkich przedmiotach jakich się uczył.

Stanisław zaraz po wzięciu Józia na swoją opiekę, przesłał wiadomość do pani Smirskiej, że ten znajduje się w Warszawie i jeżeli życzy sobie zająć się losem jego, to może jej to ułatwić. Jednocześnie napisał do pana Władysława z temże samem doniesieniem, ale na oba listy odpowiedzi żadnej nie odebrał, choć wiedział, że list doszedł swego przeznaczenia. Uznawszy się więc za zupełnie zwolnionego z wszelkich stosunków z rodziną Długoszów, oddał się cały wychowaniu Józia nic się na nią nie oglądając.

I poszło mu z tem szczęśliwie.

Józio wyrósł na młodzieńca, o krzepkiej ręce, dzielnem sercu i wykształconej głowie. Powierzchowność jego choć w grubszych męzkich zarysach Stasię przypominała bardzo.

Stanisław widział w nim żywą postać matki, wierny jej obraz i kochał Józia podwójną miłością, wspomnieniem kochającego serca i przywiązaniem ojca do syna mogącego się nim przed ludźmi pochwalić. Przymieszywała się do tego i radość z przypuszczenia, że Józio kiedyś tak się rozwinie w pracy chlebodajnej, takim się otoczy poważaniem, szacunkiem i rozgłosem swego nazwiska, że krewieństwo z nim stanie się zaszczytem nawet dla takich jak Długosze pyszałków. Jakaż to błoga będzie zemsta, rzucić im wzgardę w oczy i powiedzieć: nie znam was i poznać nie pragnę!

Józio nie myślał wprawdzie o tem, krewieństwo z panami nic go nie obchodziło, ale żyjąc w atmosferze niechęci dla nich, mimowoli się nią przejmował. Zajmował się za to bardzo twoskliwie przyszłością swoją i radząc z ojcem, bo tak nazywał zawsze Stanisława, postanowił zapoznać się praktycznie ze stosunkami handlowemi i poświęcić się w kraju zawodowi kupieckiemu.

Grześ w pierwszych latach, szczególniej w święta, często go nawiedzał i szedł z nim do kościoła: czas poobiedni Stanisław zostawiał wyłącznie dla siebie i wtenczas rozmowa przechodząc z przedmiotu na przedmiot, była niewyczerpaną. Józio i w ciekawości swej naukowej był podobny do zmarłej matki, wypytywał się o wszystko bez końca i nieraz gdyby nie przypomnienie, że już czas do spoczynku, chłopczyna noc całą przepędziłby na gawędce.

Czasami i Józio rankiem, zaraz po śniadaniu, w dnie świąteczne zachodził do pana Skowrońskiego i panny Salomei. Gdy zobaczyli wchodzącego wszyscy witali go przyjaźnie: szewc najczęściej golił się narzekając na brzytwę że tępa, a Salomeja naprawiała rękawiczki narzekając na fabrykanta, że skórę dał gałgańską, Grześ zaś uśmiechał się patrząc na Józia i umytą twarz wycierał jakimś łachmanem. Potem Jan z obu chłopcami szedł do kościoła a po nabożeństwie do Stanisława na obiad.

Pomału jednak stosunki te coraz się rzadszemi stawały. Grześ wyszedł na czeladnika zawsze mającego ręce w tylnych kieszeniach surduta, koszulę rozmamaną, czapkę w tył przechyloną i buty dziurawe. Józio na myślącego młodzieńca z ciekawością wielką przypatrującego się światu i ludziom.

Grześ cały tydzień przy pracy, w święto hulał, na Saskiej kępie lub pod murzynami, w pień żydów przeklinając. Józio uczył się, czytał, rozprawiał ze Stanisławem i na siebie i ludzi patrzył jak doktor na chorego namyślający się nad wyborem lekarstwa najskuteczniejszego.

Wreszcie Józio doszedł do owego niebezpiecznego przełomu młodzieńczości z dojrzałością męzką, w którym staje się motylem z barwnemi skrzydłami złotej wyobraźni.

Czy zwycięzko przebrnie przez te zapory własnych namiętności wyskakujących co chwila jak kłęby chmur zwiastujących burzę? Czy znajdzie w sobie dość siły do ujęcia w karby woli, tych wabików tak ponętnych tak błyskotliwych, którym młodość tak łatwo ulega, tak chętnie się za niemi ugania i tak pobłażliwie sądzi?

Były to pytania, które Stanisław sam sobie często zadawał.

Rozważając własne swe życie zrozumiał teraz dopiero, że uniknienie losu ćmy ginącej w płomieniu, zawdzięcza jedynie ciężkiej pracy do jakiej był zmuszony ubóstwem i ciągłem zaprzątaniem myśli jak wydobyć się z niego

Do zupełnego później nad sobą zwycięztwa, przyszedł mu w pomoc jeszcze ideał wyrobiony w gronie akademickiej młodzieży, poświęcenia siebie dla dobra wszystkich.

Trzy więc czynniki, były dla jego porywów młodości tarczami ochronnemi.

Pod ich osłoną w walce z życiem wyszedł zwycięzcą, a że zdobył je bezwiednie zmuszony twardym losem konieczności, postanowił wychowanie Józia tak pokierować, aby one same niejako stanąwszy przy nim na straży, porywy młodości rwą-

ce się jak dzielne rumaki trzymały na wodzy i w pędzie hamowały.

Dlaczego, pytał sam siebie, synowie bogatych rodziców wpadają tak często w otchłań rozpusty, że aż powstało ztąd przysłowie o konieczności wyburzenia się młodego piwa? Iluż to z nich z upadku tego nie podnosi się a z podniesionych jaki pożytek później, gdy czas burzenia strawił najpiękniejsze pierwiastki ich ducha?

Brakło im tych tarcz ochronnych. Świat uśmiechał się, rzucili się więc do płomienia jego rozkoszy, przy którym jedni giną, drudzy zachłyśnięci kopciem i nie mogąc go już z siebie wyrzucić, stają się... zdatni do niczego, ni do tańca ni różańca, ni do wybitki, ni wypitki, ni do rady, ni do zwady, wreszcie istne manekiny pychą wydęte.

Z takich synów, jacyż ojcowie być mogą, jacy pracownicy i obywatele?

Stanisław zbrojny własnem doświadczeniem, postanowił Józia; od pierwszej chwili wzięcia go pod opiekę, przyzwyczajać do życia dalekiego od wszelkiego zbytku.

Na naukę nie szczędził, ale co tylko jej niedotyczyło, co tylko wychodziło za obręb niezbędnych potrzeb, był skąpym jak Harpagon niczem niedający się zmiękczyć.

W kamienicy w której mieszkał Stanisław, mieszkała także pani Czemecka daleka jego krewna.

Utrzymywała się z handlu różnemi drobnemi przedmiotami, począwszą od igły aż do kaftaników i czepeczków dziecinnych. Miała córkę Marynię młodszą o lat parę od Józia, z którą bardzo się polubili.

Chłopczyna wszystkie chwile wolne z nią przepędzał, wzrastał razem z nią, rozwijał się, czasem posprzeczał, pogniewał, zawiesił odwiedziny na dni parę i znów stęskniony wracał do swej towarzyszki.

Było to przywiązanie prawdziwie rodzinne brata i siostry i nie zmieniło się na tkliwsze, choć Marynia w chwili, gdy ją poznajemy, wyrosła na bardzo urodziwą dziewczęcę, a Józio na bardzo przystojnego mężczyznę. Zdawało się, że oboje tego zupełnie nie postrzegają, że od pierwszego zaznajomienia się zmiany żadnej pomiędzy niemi nie zaszło, że nie przestali być dla siebie tylko bratem i siostrą i nic więcej.

Właśnie w tej porze Marynia ukończyła nauki i otworzyła szkółkę elementarną: Józio przygotowywał się do specyalnego zawodu.

(*D. c. n.*)

Nie pytaj.

Nie pytaj czemu znowu myśl ma leci
Ku tobie skrzydłem wędrownej ptaszyny,
Czemu twój obraz znów mi w duszy świeci,
Jak promień słońca zbiegły w głąb' ruiny.

Nie pytaj czemu w strasznej życia próżni,
Gdy nawet rozpacz nie jest już cierpieniem,
Gdy w widm chaosie człek się nie wyróżni —
Nie pytaj czemu musi żyć wspomnieniem.

O! tak, wspomnieniem... Gdy po skwarach dziennych
Krwawe już słońce opuści niebiosa,
Wspomnieniem słońca w pierś kwiatów półsennych,
Spływa wieczorem niewidzialna rosa,

Gdyby mi jeszcze wspomnienie o tobie
Było tą rosą co orzeźwia duszę...
Nie, jam żyjący zagrzebany w grobie,
Ja ciągle konać bez skonania muszę.

I dla mnie mojej już nie ma przyszłości, —
Oprócz tej — wielkiej — co z przedświtu błyska,
I w sercu mojem już nie ma miłości,
Oprócz tej — świętej — co wrosła w zwaliska...

Jam dziś samotny, jak ty samotnica,
Przeżyłaś swoich, lecz nie tracisz siły —
Samotną ciebie nawiedza tęsknica,
Niosąc podziemne wieści od mogiły.

Ja, nie mam mogił, lub ich mam zawiele,
Choć nowych, zda się, nie ujrzę za życia...
Inne tu drogi — różne nasze cele
Z serc niezgodnego pochodzące bicia.

Pocóż wspomnienie?... Wszak nic nas nie łączy,
Prócz życia w czasie, co cięży ołowiem —
Lecz gdy się wreszcie i to życie skończy,
Gdy się — tam — zejdziem, wówczas ci odpowiem.

Jerzy Laskarys.

OSTATNI Z RODU.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE. (*)

Skreślił

Władysław Kor. Zieliński.

I.

Nad urwistą wyżyną, w zachodnio południowej stronie od Lublina, tuż nad szeroko rozścielającemi się łąkami, rozsiadło się obronne miasteczko Kraśnik wraz ze wspaniałym kościołem i klasztorem księży kanoników regularnych. Po nad tym miasteczkiem w stronie ku Rachowu również nad urwiskiem — wznosił się wspaniale starożytny zamek siedziba dziedziców obszernych Kraśników i Turobińskich włości.

Zamek to wielki, piętrzący się murami i licznemi basztami, z pośród których wychyla się smukła wieżyczka zamkowego kościoła. Przez bramę zbudowaną z ciosów i uwieńczoną strażnicą, a wznoszącą się tuż nad rowem fortecznym, przez który od strony miasta prowadził most zwodzony, wchodziło się na dolny dziedziniec zamkowy otoczony zabudowaniami gospodarczemi w pośrodku których znajdował się murowany dworek zamieszkiwany przez burgrabiego. Z dziedzińca tego, pomiędzy wspomnianym dworkiem a wielkim lamusem przez drugą bramę prowadziła głazami wyłożona droga na dziedziniec górnego zamku. Tu jakby na kopcu jakim wznosił się o dwóch piętrach gmach wspaniały, zdobny w tarasę spoczywającą na ciężkich arkadach, pod któremi znajdowało się wejście główne do wnętrza zamku. Tak na tarasie, jako też nad drzwiami wchodowemi widniały znamiona herbowe Tęczyńskich, Gorayskich i kniaziów Słuckich.

Do dwu piętrowego głównego zamku, od wschodu i zachodu przypierały wysokie baszty, z których mosty zwodzone prowadziły na wały i obronne zamkowe mury. Między bramą a zamkiem na wschód tegoż, wznosił się drewniany kościołek z wysoką wieżycą do której przypierała kapelania wraz z gmaszkiem klasztornym w którym przebywały świętobliwe Panny Franciszkańki. Naprzeciw kościołka, wznosił się jeszcze jeden długi budynek również drewniany i tu mieściły się kuchnie zamkowe, strażnica, izby czeladnie, cekhauz, oraz mieszkania oficyalistów zamkowych, dworzan i t. d. Po za głównym gmachem zamkowym, aż po wały rozciągał się niewielki ogród okolony cienistemi lipowemi alejami. Na wałach od strony Rachowa, Urzędowa i Lublina, pod ochronnemi daszkami stało parę żelaznych armatek, u bramy zaś wjazdowej stały dwa moździerze z których w święta uroczyste na wiwat strzelano.

Z górnych pięter zamku i z tarasu, jak niemniej i z wałów uroczy przedstawiał się widok, a szczególnie wiosną, gdy łąki i drzewa się zazieleniły. Na południe o parę staj tylko od zamku z pośród uroczej zieleni ogrodów, tuż z ponad urwiska po pod którym przepływała rzeczułka Stróża, okolone warownemi murami wychylało się miasteczko Kraśnik, po za którem w głębi na ciemnem tle lasów rysowała się osada Stróża. Na zachód po za urwiskami, poprzerzynanemi polami ku północy, wiankiem okrążały ciemne lasy na skraju których tu i owdzie rozsiadły się pojedyńcze osady leśne Daleko na północ w dolinie zielonej wijącej się wężykowato pomiędzy wyżynami i tuż po nad obszernem jeziorem, rozsiadła się duża włość Wyźnica, przez którą prowadził trakt do Urzędowa, gdzie była siedziba grodu i starosty. Od wschodu zaś tuż po nad łąkami rozciągającemi się u stóp zamku i miasteczka, ku południowi ciągnęły się lasy, liczące parę mil rozległości. Po za temi lasami rozsiadły się szlacheckie włoście Popkowice, Skorzyce, Wilkołaz, Kłodnica, dalej znowu ciągnęły się lasy Zakrzewieckie i puszcza Turobińska.

Z dala już od Lublina dojeżdżając do Kraśnika, wysoko po nad miastem widniało zamczysko które w miejsce dawnego drewnianego Gorajskich zameczku wznieśli Tęczyńscy z muru i ciosu.

Jak zewnątrz tak i wewnątrz, zamek był wspaniale urządzony, lecz nie dziw temu, bo tu przemieszkiwali przez lat wiele Tęczyńscy a obecnie z chwilą rozpoczęcia naszej opowieści książęta Olelkowicze Słuccy. Jan Tęczyński wojewoda krakowski ożeniony z Anną córką Dimitra z Goraja Marszałka W. Kor. wziął te dobra w wianie i tu założył swą siedzibę, a wzniósłszy przed r. 1460 przepiękny kościół przystąpił do budowy opisanego zamku. Następcy jego a mianowicie Jan Tęczyński r. 1563, a więc w sto lat później, dobra Kraśnickie odstąpił stryjom swoim Janowi i Andrzejowi, którzy znowu dali je w wianie siostrze swej Katarzynie żonie Olelkowicza księcia

---

(*) Opowiadanie to osnułem na tle czysto historycznem i na kilkudziesięciu listach książąt Jana i Aleksandra Słuckich, oraz wielu innych osób znanych w dziejach a mających ścisłe stosunki z książętami Słuckiemi. Fakta dziejowe poruszone w niniejszem opowiadaniu, usiłowałem przedstawić tak jak nam dzieje podają, całą zaś osnowę oparłem przeważnie na tradycyi miejscowej i na wskazówkach zawartych w pomienionych listach. Zabezpieczy mnie to zapewne od wszelkich zarzutów, jakie by mnie ze strony aż nadto surowych krytów dotknąć mogły. Piszę bowiem nie historyą, ale opowiadam jedną z jej chwil z których się dzieje składają.

Autor.

Słuckiego. Każdy z posiadaczy zamku do istniejących już budowli, dodawał coś nowego i tym sposobem powstała piękna i obronna rezydencya pańska.

Liczny dwór zapełniał mury zamkowe, tembardziej, że księżna Katarzyna od czasu śmierci jej męża w roku 1565 przypadłej, chętniej w Kraśniku niż gdzieindziej przemieszkiwała, lecz w drugim roku wdowieństwa ulegając namowom rodziny, wyszedłszy powtórnie zamąż za Krzysztofa Radziwiłła podówczas jeszcze Hetmana polnego litewskiego i kasztelana Trockiego, przeniosła się do Wilna. Od tej też pory dobra Kraśnickie oddała synom swoim Janowi i Aleksandrowi książętom Olelkowiczom Słuckim. Tak więc w murach Kraśnickiego zamku, przebywali teraz dwaj bracia obaj młodzi, będący w rozwoju życia, a otoczeni licznym gronem ludzi światłych przygotowywali się do przyjęcia czynnego udziału w służbie krajowej.

Właśnie 1586 r. Król Stefan zwołał sejm walny do Grodna, na którym Słuccy po raz pierwszy jako deputaci powiatu Urzędowskiego stanąć mieli przed bracią szlachtą. Czynione przygotowania do tak odległej podróży, przed którą jeszcze bracia Słuccy mieli być na sejmiku w Lublinie, sprawiły to, iż na zamku Kraśnickim panował ruch ogromny. Niezwykle sroga zima onego roku, pomimo, że dniem i nocą na kominach płonęły ognie, dobrze czuć się dawała mieszkańcom zamku, a mianowicie samym książętom, którzy wątłego będąc zdrowia, z nadejściem pierwszych już mrozów komnat zamkowych nie opuszczali.

W ostatnich dniach grudnia, w przededniu wyjazdu książąt do Lublina, z niezwykłym pośpiechem na drugi dziedziniec i pod taras zamkowy wpadły łubiaste sanie zaprzężone w dzielną czwórkę karych koni. Z sani poprzedzonych dwoma konno jadącymi hajdukami, wyskoczył raźnie mężczyzna przyodziany w wilczą szubę i liczyć mogący około lat pięćdziesięciu. Konie pokryte pianą i buchające parą, jakoteż i pośpiech z jakim przybyły wbiegł do przedsionka zamkowego, kazały wnosić, że musiało zajść coś ważnego i niecierpiącego zwłoki.

Nieznajomy zruciwszy z siebie szubę, poprawiwszy u boku zwieszającą się karabelę, jako też obtarłszy sumiaste wąsy ze szronu i sopli lodu, poprzedzony przez jednego z dworzan książęcych wszedł na wschody prowadzące do komnat górnego piętra.

Był to imci pan Prawdota Nieczuja Dzierżek sędzia i stolnik lubelski, a blizki sąsiad książąt bo właściciel Dzierzkowic. Pan stolnik był wzrostu słusznego, barczysty i rzec można wcale przystojny. Żywe jego ruchy, pełne godności jako też szlachetny wyraz twarzy w której malowała się energia, pozwalały i nie bez podstawnie sądzić o jego niezłomnym charakterze i silnej woli z jakiej powszechnie był znany. Miał on na sobie czarny dostatni żupan, opasany takimże srebrem przetykanym pasem i karabelę w jaszczur oprawną z rapciami czarnemi jedwabnemi, przeplatanemi srebrną nicią: uszata sobolowa czapka uzupełniała ten strój żałobny.

Dworzanin wprowadził pana stolnika do obszernej komnaty, ściany której pokrywały cenne makaty, tak jak i podłogę miękkie tureckie kobierce. Przed dużym szafiastym kominem, na którym płonął żywy ogień, w futrzane tołuby owinięci siedzieli Jan i Aleksander książęta Słuccy. Oprócz książąt w komnacie znajdowali się nadto: wielebny ksiądz Jan Malinowski przełożony zakonu Kraśnickiego, Jan Janina Stoiński sędzia grodzki lubelski, Seweryn Gryf Chamiec dziedzic Potoka, Marcin z Wybranowa Wybranowski, Wojciech Białyński, Turobiński i Andrzej Nowina Koźla burgrabia Kraśnicki.

— Pokój temu domowi, a wieczny odpoczynek ś. p. królowi jegomości! — od wzruszenia drżącym głosem ozwał się przybyły.

Obecni usłyszawszy te słowa, przez chwil parę z niemem przerażeniem spojrzeli na stolnika, który zbliżywszy się do księcia Jana powitał go z winną atencyą i submisyą.

— Cóż to za straszne i złowieszcze powitanie?— zawołał książę Jan, podnosząc się z siedzenia.

— Zapewne że straszne! — odparł stolnik — tem straszliwsze, że prawdziwe! Król jegomość dni temu parę bo 13 grudnia, przybywszy do Grodna, po krótkiej niemocy, żyć przestał osierocając nas i kraj cały!

— Zkądże te wieści? — rzekł książę Aleksander — nic o tem nie wiemy, a przecież nasza pani matka powiadomiłaby nas o tem niezwłocznie!

— I zapewne to nastąpi, ozwał się stolnik, lecz ja tę wiadomość otrzymałem przed chwilą z Lublina od chorążego nadwornego, który mimo srogiego mrozu pchnął do mnie dworzanina swego z pismem, donosząc o tym smutnym wypadku!

— *Requiem et lux aeternam dona eo Domine!*— zawołał książę Jan.

— Amen!—ponurym głosem ozwali się obecni.

— Otrzymawszy tę smutną wiadomość — rzekł po chwili pan stolnik — pospieszyłem, aby waszym miłościom takowąż *humiliter* zakomunikować i nie tracąc czasu puścić się w dalszą drogę do Lublina, gdzie mnie teraz czynności sędziowskie powołują, tem rychlej, że lada chwila nadejdzie manifestum księcia Prymasa wzywający stany na konwokacyą. Taendem ergo, przygotować się trzeba do nowej elekcyi!

— Więc to prawda! że miłościwie nam panujący król jegomość żyć już przestał? — mówił książę Jan przechadzając się po komnacie. — Więc to prawda, że ten potężny pogromca wrogów zeszedł z tego swiata?

— Niestety! miłościwy kniaziu — odparł stolnik — już nie ma go między żyjącymi i od nas należy mu się dzisiaj tylko wdzięczna pamięć i modlitwa!

— *Fiat voluntas tuas Domine!* — rzekł książę Jan, a zwracając się do księdza Malinowskiego dodał — księże prefekcie chciej zarządzić proszę, zaraz stosowne exekwe za duszę ś. p. miłościwego pana naszego, któremu niech Bóg da wieczny odpoczynek, następnie zaś pragnę, aby solenne odprawiło się nabożeństwo unu castro doloris, nie szczędźcie niczego, niech tym przynajmniej złożony będzie przez nas dowód jak wielce dotknęła nas ta strata!

— Wola waszej miłości — odparł ksiądz Malinowski — spełnioną będzie dziś i to stante pede. W kościele zamkowym odśpiewam exekwie, jutro zaś w kościele naszym odbędzie się nabożeństwo godne tak wielkiego monarchy, na które miłościwych mi książąt i panów braci zapraszam!

Rzekłszy to ksiądz Malinowski ruszył przodem, a obecni podążyli za nim spiesząc do zamkowego kościoła, z wieżycy którego rozległ się smętnie jęczący głos dzwonu, wzywający wiernych na modlitwę za umarłych.

Po nabożeństwie i na prędce podanym obiedzie, stolnik Dzierżek ruszył w dalszą drogę ku Lublinowi, dokąd dnia następnego udać się mieli obaj książęta Słuccy i ich goście.

Ze śmiercią walecznego Stefana Batorego, Polska znalazła się nagle wśród wiru zamieszek, które wybuchłszy, zniszczyły świetną potęgę narodu i rzuciły go w przepaść buchającą wszystko niszczącym pożarem wojny domowej. Rozterki możnych, które od niejakiego czasu już zdawały się przycichać, ze śmiercią króla na nowo wybuchły z całą gwałtownością. Zborowscy najgłówniejsi Jana Zamojskiego nieprzyjaciele, pomni śmierci Samuela, złączywszy się z wszystkimi jego przeciwnikami, z całą zgrają zazdrośników utworzyli niebawem potężną partyą, do której nawet przyłączył się sam prymas Stanisław Karnkowski.

(*D. c. n.*)

Przegląd Teatralny.

Wiek niewdzięczny, komedya w 3 aktach, Edwarda Paillerona.

W ubiegłym tygodniu Teatr Letni wystawił z wielką starannością komedyę utalentowanego autora, który w przeciągu dość krótkiego czasu, zajął zaszczytne miejsce pomiędzy pierwszorzędnymi dramatycznymi autorami Francyi. Utwory jego nie odznaczają się ani sztucznie skomplikowaną akcyą, ani mozolnie wymyśloną dramatyczną fabułą, ani też zręcznie na efekt naciąganemi sytuacyami, za czem zwykle uganiają się teraźniejsi dramatyczni pisarze i w czem, niestety, i publiczność więcej się lubuje niżby należało.

Ale natomiast, ileż w utworach Paillerona głębokiej obserwacyi, nie opuszczającej najmniejszego szczegółu byle charakterystycznego, ile prawdy życiowej, ile finezyi i wdzięku w dyalogu, ile delikatnego dowcipu, a nawet poezyi prawdziwej w osobistościach, które choć cokolwiek do tego się nadają. Przytem jak wiele w nich elegancyi i dobrego tonu. Dlatego też jego komedye tylko przez wyborową publiczność z przyjemnością słuchane być mogą i jak zasługują, oceniane. Ale i do grania nie są łatwe, potrzeba bardzo wytrawnych artystów, ażeby oddać wszystkie delikatne subtelności jego tak misternie rzeźbionego dyalogu, jako też i zaledwo dostrzegane przebłyski uczucia w danych chwilach, które tylko mało znacznym gestem lub grą twarzy podkreślać należy. Ażeby tego rodzaju komedya prawdziwie dobrze się powiodła i przedstawienie podniosło jeszcze, lub przynajmniej należycie pozwoliło ocenić talent autora, wszyscy artyści udział w niej biorący, powinni się dostroić do jednego tonu, właśnie takiego, w jakim autor sztukę swoją trzyma. Pamiętamy dobrze pierwsze przedstawienie jego ślicznej „Iskierki". Jakże ono szło składnie i elegancko, a jakie wywołało wrażenie, jak długo to wrażenie w pamięci naszej pozostanie! Ale jacyż wtedy byli jej przedstawiciele? Pani Modrzejowska, panna Popiel i pan Tatarkiewicz.

„Wiek niewdzięczny", u nas to wyrażenie używa się do oznaczenia pewnej pory życia, przejściowej pomiędzy dzieciństwem a młodością, cechującej się niezgrabnością kształtów i ruchów; nieświadomością życia, a chciwem domyślaniem się jego tajemnic. Francuzi mianem tem określają jeszcze drugą chwilę przejściową, pomiędzy ulatującą już młodością a wiekiem zupełnej dojrzałości, ociężenia, po którym niedługo już nastąpi starość pełna

dolegliwości i żadnych nie dająca nadziei. Człowiek wtedy broni się jak może, chciałby szaléć jeszcze, aby tę uciekającą młodość zatrzymać, której blizka utrata go przeraża, lecz zarazem fizycznie już ociężały, a moralnie przesycony, do spokoju do domowego ogniska, do uczuć łagodnych a stałych, tęskni pomimowoli.

Przedstawić ten stan psychologiczny w osobistościach różnych charakterów, takie jest zadanie komedyi Paillerona. Zadanie oryginalne, nowe, nie wyzyskane jeszcze. Obaczmyż w jaki sposób utalentowany autor wywiązał się z niego.

Przedstawia on aż cztery męzkie osobniki w tym „wieku przejściowym" będące: dwóch żonatych i dwóch kawalerów. Pierwszy z nich, pułkownik de Sauves, pomimo swych lat czterdziestu, nie nażył się jeszcze do woli i opuścił po krótkiem pożyciu młodą i miłą żonę, lecz jeszcze dziecko prawie, aby w łatwych miłostkach i hulaszczem życiu, znaleźć odbłyski dawnej, uciekającej już młodości. Lecz po dwóch latach, nudę i przesyt tylko znajduje, budzi się w nim miłość do opuszczonej żony, lecz odepchnięty przez słusznie obrażoną, choć skrycie kochającą, już na przekor jej, znowu w wir świata się rzuca. Jest to typ męzki wyborny, żywcem z natury schwycony.

Drugim mężem, młodszym od niego i mało znającym życie, jest p. Fondreton, uczony ze szkoły paleografów, oddany badaniu i odczytywaniu *palimpsestów*. Tego, wcale nie myślącego o kobietach, schwycono i ożeniono tak nagle, że nie miał czasu się opamiętać, i odtąd, jak sam powiada, widzi tylko zawsze jednostajny uśmiech żony i aksamitne trzewiki teściowej. Nudzi się więc i z nudów, a częścią z ciekawości, rzuca się w wir bawiącego się świata, a chcąc wynagrodzić młodość nad suchemi studyami spędzoną, bawi się całą duszą.

Dwaj drudzy, nieżonaci, urządzają sobie życie, każdy według własnego charakteru, z tą główną zasadą, aby się nie dać złapać w sidła małżeńskie. Lahirel, elegancki, światowy, przystojny i majętny, znajduje wielką przyjemność być poszukiwanym wszędzie, pieszczonym i cackanym przez wszystkie ciotki i mamy mające panny na wydaniu, do których umizgać się lubi, lecz też i zręcznie zwinąć chorągiewkę, gdy już stanowczej chwili nie można uniknąć. Drugi zaś kawaler Désaubier, wiekiem od wszystkich starszy, rodzaj Tartufa i dyplomaty zarazem, umyślił sobie ciągnąć miłosne zyski z opieki jaką otacza młode opuszczone mężatki, rozwódki, etc. i właśnie najgorliwiej w podobnych zamiarach, choć starannie ukrytych, rozciąga opiekę nad śliczną panią de Sauves, swą daleką krewną, rozmaitemi intrygami niedopuszczając, aby się z mężem pojednała.

Kobiece typy, jakkolwiek nie tak czynnie występujące, skreślone są starannie, delikatnie a każda z nich jest inną. Pani de Sauves, kochająca męża, a przez obrażoną godność i miłość kobiety, zmuszona uczucia swe ukrywać, jest typem często w życiu spotykanym, a przedstawionym przez autorą w najsubtelniejszych jego odcieniach. Bezbarwna pani Fondreton, ze swym stereotypowym uśmiechem i wieczną skargą na męża, matka jej, istny typ teściowej szarżowany nieco, która wydawszy córkę zamąż, wnet myśli o rozłączeniu jej z mężem i druga jej córka, Genowefa, młodziutka i naiwna, a bardzo wdzięczna postać, tudzież baronowa Wacker, ekscentryczna amerykanka, niczem się nie krępująca i żyjąca w nieustannym wirze zabaw i ludzi, otoczona tłumem wielbicieli, z których nie wyróżnia żadnego, lecz i żadnemu nie odbiera nadziei, byle bawić się i być uwielbioną, stanowią istną galeryę wybornych postaci niewieścich.

Zgoda dwóch par małżeńskich bardzo zręcznie przeprowadzona, ujarzmienie Lahirela przez młodziutką Genowefę i zdemaskowanie interesowanych zabiegów Tartufa Désaubier, kończą sztukę, którą słucha się z prawdziwą przyjemnością.

O grze naszych artystów niewiele powiedzieć możemy. Widocznem było, że role, charaktery i sytuacye, wystudyowane były starannie, lecz że sztuka nie robiła tak wielkiego wrażenia jakby powinna przez swoje zalety, to przyczyny tego chyba szukać należy w braku tej żywości w akcyi, tej werwy która cechuje artystów francuzkich, a która dla istotnego powodzenia sztuki tego rodzaju, jest niezbędną. I zła akustyka sali Teatru Letniego staje tu na przeszkodzie. Słuchacze nawet blizko siedzący nie mogli schwycić wszystkich dowcipów i subtelności tego misternego dyalogu, który stanowi jedną z wielkich zalet komedyi Paillerona. A może też i w samej sztuce leży wina chłodu, z jakim publiczność jej słucha, pomimo konwencyonalnych oklasków dla ulubionych przez nią artystów, nie ma w niej bowiem nic porywającego, nic coby naszego słuchacza za serce chwytało. Oklasków, ba nawet bukietów, najwięcej zbierała pani Lüde, grająca wytwornie rolę ekscentrycznej amerykanki, oraz panna Czaki występująca w roli Genowefy i która w niej okazała wiele wdzięku i prawdziwego talentu, zwłaszcza w ślicznej scenie 3-go aktu z Lahirelem. Wystawa była bardzo staranna.

Hieronim Kuczalski.

WYSTAWA KWIATÓW
na polach Elizejskich w Paryżu.

Przez

Sewerynę Duchińską.

W ciągu kwietnia i maja, Paryż staje się polem rozmaitego rodzaju popisów. Wystawy następują w ślad po sobie i przyciągają nie tylko całe rojowiska Francuzów z prowincyi, ale niemniej chmary Anglików z za morza, ościennych Belgów a nawet dalsze ludy.

Te wystawy dają nam poznać wszystko co wydał geniusz francuzki, połączony z pracą, w ciągu upłynionego roku. W oszklonym ogrodzie pałacu przemysłowego, przypatrujemy się pięknym koniom, wyhodowanym na żyznych łąkach po nad Loarą i Rodanem, lub na wybrzeżach normandzkich. W ogrodzie Tuilleryjskim podziwiamy prześliczne rassy, aklimatyzowanych psów, począwszy od olbrzymich brytanów *Terre Neuve*, od czujnych stróży z góry Ś-go Bernarda, do małych charcików, w eleganckich czapraczkach i upudrowanych Bononczyków, strojnych w różowe i błękitne kokardy. Na polach Elizejskich, w długim szeregu szałasów, widzimy płody rolnicze, nagromadzone z szerokich przestrzeni, od Pyrenejów do Wogezy, od Atlantyku po brzegi morza Środziemnego. W pobliżu ztąd, w trzydziestu salach zwanych *Salonem*, ci którzy uznają, że człowiek nie samym chlebem żyje, karmią się widokiem niezliczonych obrazów i rzeźb, świadczących, że geniusz francuzki szuka wytrwale nowych form do wyrażenia piękna.

W pośród tych wszystkich wystaw, jedną z najpiękniejszych niewątpliwie jest wystawa kwiatowa. Od dwóch lat, przeznaczono dla niej śliczny pawilon, który na wystawie powszechnej przed laty pięciu obejmował wystawę miasta Paryża z pola Marsowego przeniesiono go na pola Elizejskie, których prawdziwą jest ozdobą.

Towarzystwo centralne rolnictwa we Francyi przedsiębierze cztery razy do roku wystawę płodów ogrodniczych, komisya złożona ze specyalistów, delegowana przez towarzystwo, zajmuje się jej urządzeniem. Jednym z najczynniejszych członków tej komisyi, był w tym roku p. Jan Dybowski, profesor szkoły rolniczej w Grignau.

Wyobraźmy sobie wnętrze wielkiego pawilonu, zamienione w najpiękniejszy ogród, istne królestwo Flory. Ściany nikną zupełnie, pod wielkiemi liśćmi palm i drzew paprociowych.

Przy wstępie samym, zatrzymuje uwagę wielki kląb z różnokolorowych Gloxynii, podnoszących główki z pod miękich liści aksamitnych, po bokach uderzają w oczy, cudne orchidesy, jedna z nich najświetniejsza, niby drogiemi wysadzana kamieniami ściąga do siebie tłumy. Oceniono jej wartość na kilka tysięcy franków. Oprócz okazów wyjątkowo pięknych, orchidesy dzięki udoskonalonemu ogrodnictwu, zaczynają się coraz bardziej rozpowszechniać. Z początku kwiat ten stanowił wielką osobliwość, hodowano go w tajemnicy.

Dziś doświadczenie nauczyło, że hodowla jego nie wymaga nadzwyczajnych zabiegów, znosi on wybornie umiarkowaną cieplarnię, ztąd też cena jego, niegdyś bajeczna, staje się coraz bardziej dostępną. O ile sobie przypominamy, słynny krakowski botanik Warszewicz, który zdeptał wąwozy Andów, jeden z pierwszych sprowadził do Europy, te prześliczne rośliny, zalecające się kształtem i barwą i wonią, a co więcej i tem, że w ciągu kilku miesięcy, wydają bezustanku, coraz to nowe kwiaty.

W pośrodku zaimprowizowanego ogrodu, bije fontanna, otoczona mnóstwem roślin wodnych, wokoło niej rozrzucono grupy przepysznych rododendronów i azalei, ułożonych wytwornym gustem, kolory ich dobrane umiejętnie tworzą najpiękniejszą harmonią. Uderzyła nas między innemi grupa ciemno-amarantowych rododendronów, opasana wieńcem białych kalmii.

Nieco dalej na przestrzeni stu metrów kwadratowych, kwitnie tysiące róż, tworzą one całą gammę barw, od białej do ciemno morderowej, różne od siebie z pozoru, jedną przecież wonią zaprawiają powietrze. Między niemi panują dwie nowe odmiany angielskie, purpurowy *Darwin* i blado różowy *książę Tich.*

Bogata grupa, wielkoliściastych roślin *Caladium* zachwyciła nas szczególniej. Dziwnaż to rozmaitość w tych liściach, centkowanych różnemi kolorami, w jakieś tajemnicze hieroglify, to znów poprzecinanych siecią barwistych żyłek.

Uważaliśmy między innemi, nową całkiem odmianę, z białym srebrzystym liściem, długim na pół metra; inna odmiana ma liść ciemnozielony prawie czarny, poprzecinany malowniczo białemi żyłkami. Nic piękniej ozdobić nie może salonu, nad ten ogromny pęk liści, nie ustępujących w barwach najpiękniejszym kwiatom, nie każdy jednak może pozwolić sobie tego zbytku, najtańszy okaz kosztuje do stu franków, rzadsze odmiany dochodzą do kilku tysięcy.

Na szczególną uwagę znawców, zasługuje tu grupa kwiatowych roślin *bromeliacces*, sprowadzonych świeżo do Europy z gór Ameryki południowej, przez słynnego botanika Edwarda Andre. Najpiękniejsza odmiana ich, zwana *Tillendsia, Lindeni, Tricolor*, składa się z długich kiści, na każdej ciągną się szeregiem, przysadki kwiatowe, ciemno różowe, umieszczone po dwa koło siebie, z tych wybiegają wielkie kwiaty fioletowej barwy. Prześliczna ta roślina, wkrótce się upowszechni, gdyż nie wymaga zbyt wielkich zachodów. Dwie inne odmiany, *Paya gigas* i *Paya pastensis*, mogą przez stosowną uprawę, przybrać wielkie rozmiary i zamienić się w drzewka.

Wzdłuż wielkiej galeryi za pawilonem, ciągną się długie grzędy, napełnione milionem letnich kwiatów. Wystawia je sławny ogrodnik Vilmorin, właściciel najpierwszego składu roślin w Paryżu i autor ważnego dzieła o ogrodnictwie, nagrodzony w tym roku medalem honorowym.

Na innej wielkiej grzędzie, widzimy kolekcyą najpiękniejszych róż, na innych prześliczne reunakuły, aremony i olbrzymich rozmiarów piwonie. Godne też uwagi rozpięte w koło klematydy Japońskie, z ogromnym kwiatem fioletowym w rozmaitych odcieniach. Na żadnej dotąd wystawie, nie widziano równie pięknych okazów.

(*D. n.*)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Oberża pod gwiazdą, przekład z niemieckiego przez Doktora Juliana Weinberga. Nie jest to powieść w ścisłem tego słowa znaczeniu, w której zwykle gra namiętności występuje na jaw w różnych obrazach o ile można dramatycznie przeprowadzonych, ale opowiadanie nadzwyczaj zręcznie ułożone, działalności policyi w pewnej ważnej sprawie uwieńczonej wykryciem właściwego winowajcy. Nie ma tam jednak żadnych wstrętnych okropności, rzecz od początku do samego końca czyta się z wielkiem zajęciem a po ukończeniu nie obudza niezadowolenia, tylko pewien rodzaj żalu, że ajenci policyjni nie są wszędzie tacy jak ich autor w pracy swojej przedstawił. Tłomaczenie bardzo dobrze dokonane, czytając nie wie się nawet, że z oryginału niemieckiego dopełnione zostało. Zasługa to niemała, do której tłomacz przyłączył i bezinteresowność, wszelkie korzyści z wydania odstępując na rzecz Ochrony 15 przez Towarzystwo dobroczynności utrzymywanej. Cena rs. 1.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Hrabina z Działyńskich Zamojska założyła w Kórniku (w W. Ks. Poznańskiem) szkołę gospodarczą dla dziewcząt, której przewodniczy osobiście, pracując wraz z córką swoją 18-letnią panną nad jej pomyślnym rozwojem. Szkoła ta liczy obecnie 9 uczenic z miasta i 12 ze wsi, które uczą się białego szycia, krawieczczyny, gospodarstwa folwarcznego, to jest hodowli drobiu, trzody chlewnej, mleczarstwa, przędzenia, tkactwa domowego, słowem wszystkiego co tylko odnosi się do wiejskiego gospodarstwa. Nauka odbywa się pod osobistym nadzorem założycielki i wykładana jest przez specyalnie uzdolnioną nauczycielkę. Oprócz tej jest jeszcze cztery nauczycielki, z których dwie doglądają domowego porządku uczenic.

Szkoła ta gospodarstwa wiejskiego utrzymywana jest dotąd wyłącznie kosztem szlachetnej założycielki, można przecież liczyć na to, że pierwszy w tym kierunku tak pożyteczny zakład zyska z czasem uznanie ogółu i ściągnie znaczniejszą liczbę uczenic mogących już płacić za swe utrzymanie i naukę. Każdemu wolno jest zwiedzać szkołę, wszelkie budynki gospodarskie i poznać całe urządzenie zakładu. Nie pierwszy to nader pożyteczny zakład, w ks. Poznańskiem założony lub podtrzymywany przez rodzinę hr. Działyńskich, odznaczającą się dbałością i troskliwością o przemysł domowy polski i jaśniejącą prawdziwie obywatelskiemi cnotami.

*** W r. z. obchodzono w Paryżu jubileusz pół-wiekowego poświęcenia się dla dobra ludzkości polskiej siostry miłosierdzia, Teofili Mikułowskiej. Podajemy tu wzmiankę o zasługach tej czcigodnej rodaczki naszej. Urodzona w Orchowie, w gubernii Wołyńskiej, wychowywała się pod okiem świętobliwej matki, wzorem trzech siostr starszych, które wstąpiły do klasztoru i ona od lat najmłodszych postanowiła wyrzec się świata i przywdziać szarą sukienkę i kornet siostr miłosierdzia. Gdy jeszcze młodziutką była panienką już największą znajdowała rozkosz w pielęgnowaniu chorych włościan, a w 21 roku życia wstąpiła za zezwoleniem pobożnych rodziców do Zgromadzenia Siostr reguły św. Wincentego a Paolo... W roku 1844 przybyła do Poznania, skąd udała się do Paryża, gdzie smutne położenie licznych biednych rodaków przedstawiało jej szerokie pole działalności.

Przybywszy do Paryża wraz z czterema siostrami, zajechała do centralnego domu przy ulicy Bac, gdzie przyjęto je gościnnie a jenerał Zgromadzenia, ks. Etienne, otoczył je najtroskliwszą opieką i wtedy to dzięki jemu i poparciu ks. Róży Sapieżyny i hr. Delfiny Potockiej, powstał dom św. Kazimierza, którego siostra Teofila Mik. jest dotąd przełożoną, a celem jego danie przytułku ubogim sierotom i starcom złożonym chorobą, oraz odwiedzanie ubogich i chorych rodaków. W pierwszych dniach stycznia 1846 r. kosztem książąt Czartoryskich, wynajęto maleńki domek na przedmieściu św. Marcelego, osiadły w nim cztery siostry przybyłe z Poznania i przyjęto kilka biednych dziewcząt. Kapłan pobłogosławił przytułek, którego cały majątek składał się z kilku łóżek i stołków, ale przyświecał mu obraz Naj. Maryi Panny, która też czuwała nad nim i w najcięższych chwilach swoją otaczała opieką.

Postawiony w najcięższych warunkach, pozbawiony wszelkiego stałego funduszu, przecież dzięki poświęceniu i niezłomnej wytrwałości przełożonej, Zakład św. Kazimierza nietylko nie upadł i zdołał przetrwać najtrudniejsze chwile, ale rozszerzał się ciągle, tak już w 1851 r. utrzymywał 12 starców i 50 dziewcząt. Nareszcie cesarz Napoleon zaliczył zakład do subwencyonowanych i przeznaczył 6,000 fr. rocznej zapomogi, a niezadługo potem (1858 r.) pani Grocholska przybywszy do Paryża, darowała pożytecznej instytucyi 100,000 fr. za które jako też i ofiary innych rodaków oraz dochód z loteryi i kwest urządzanych po kościołach, zakupiono plac w dzielnicy Ivry i wybudowano gmach wygodny dla pomieszczenia znaczniejszej liczby starców i dziewcząt. W parę lat później hr. Montessuy darował zakładowi piękny dom z ogrodem w Juvissy, w którym założono filię dla 15 starców i tyluż chłopców.

Tę względną pomyślność zakład zawdzięczał przeważnie niezmordowanej pracy i zabiegliwości zacnej przełożonej, oraz ogólnemu szacunkowi jakim ją otaczano. Pierwsza na nogach i ostatnia udawała się na spoczynek, w razie zmniejszenia porcyi, gdy zbrakło funduszu i podczas oblężenia, zaczynała zawsze od siebie. Wyzuwała się zawsze ze wszystkiego na rzecz zakładu, całe jej mienie stanowi habit, para trzewików, różaniec i książka do nabożeństwa. Nadzwyczaj dobra, łagodna, cierpliwa, samo jej ukazanie się przy łożu chorych, wielką przynosi już ulgę, ale obok tej niewysłowionej słodyczy charakteru, w chwilach stanowczych okazuje wielką moc duszy i niezachwianą energię.

Strasznym był dla zakładu rok 1870 w którym Prusacy oblegli Paryż. Cały zasób jego wynosił 300 franków, opiekunowie i dobroczyńcy się porozjeżdżali, a zacna przełożona miała przeszło sto osób do żywienia. Pomimo pewnego zasiłku zarządu miasta i dobroczynności piekarzy i rzeźników, przyszło do tej ostateczności, iż kazała wygotowywać skóry i robiła z nich galarety zaprawne czosnkiem. Sama po kilka dni nic w ustach nie miała, wynędzniałe dziewczątka umierały z głodu, widmo śmierci zaczęło zaglądać do zakładu, coraz nowe trumienki wynoszono na cmentarz.

Po ustaniu oblężenia nastała komuna i straszne jej rządy, wtedy siostra przełożona postanowiła wywieźć dzieci do Juvisy i wózki pożyczone od litościwych ludzi, potoczyły się po bruku, pełne sierotek, tobołków i kociołków, w pośród których bielał kornet przełożonej. W Charenton spotkano straże pruskie. Przestraszone dzieci zaczęły głośno płakać, Mikułowska spokojnie przemówiła do żołnierzy i jak zwykle tak i teraz wywarła na nich tak silne wrażenie, iż ulegając jej wpływowi zaczęli wołać: *Schwester! Schwester!... man muss ihr helfen* i w tej chwili znalazły się owoce i bułki. Żołnierze sami przewieźli dzieci i następnie w ambulansach wojskowych dostały się do Juvisy.

Zakład św. Kazimierza trzyma się w Paryżu i rozszerza koło swej działalności; trudno prawie uwierzyć, że jedna słaba kobieta zdołała tego dokazać swem poświęceniem i wytrwałością, iż odebrało tu wychowanie 438 dziewcząt, 166 starców znalazło przytułek do śmierci, a ochronka w Juvisy 54 chłopców przygotowała do rękodzieł. Ale utrzymanie zakładu staje się coraz cięższem, po r. 1870 rząd zmniejszył zasiłek a produkta podrożały; zasobów żadnych, jutro zawsze niepewne, pomimo to czcigodna przełożona nie wątpi o przyszłości, ufając niezachwianie w miłosierdzie Boże. Ona jest duszą całego zakładu, wprowadza w ruch wszystkie sprężyny i doskonałą utrzymuje w nich jedność, ona to cudem wiary, miłości i poświęcenia roztliła to święte ognisko i ogrzała przy niem tyle sierot i tylu łazarzy.

Cześć czcigodnej rodaczce naszej!

*** Czasopisma amerykańskie podają następujące szczegóły o kolonii polskiej w Buenos-Ayres. Osada składa się z 280 członków zamieszkałych w mieście i okolicy. Czwarta ich część przybyła niedawno, reszta zalicza się do najdawniejszych mieszkańców. Wszyscy prawie mówią płynnie miejscowym językiem, większość posiada polski. Gmina utrzymuje parafię w której bywają kazania polskie. Najprędzej wynaradawiają się żydzi, niektórzy jednak zachowali pewne współczucie

dla dawnej przybranej ojczyzny. Prawie cała ludność polska zbiera się w niedawno założonym klubie, gdzie jest kalendarz i kilka pism polskich. W mieście dwie firmy wystawiły szyldy w języku polskim. Mała liczba polaków poświęca się adwokaturze, meklerstwu i roli, większość pracuje na polu rękodzieł i handlu. Na wniosek Polaka, deputowanego Kołbasy, w Stanie Minesato wydano ustawę, mocą której właściciele handlów z tytuniem i napojami, pociągani będą do odpowiedzialności, za sprzedaż tych produktów nieletnim.

*** Mieszkańcy Europy z trudnością mogą wyobrazić sobie jak straszne spustoszenie i klęski szerzą w Ameryce Północnej szalejące tam trąby i cyklony. Orkan jaki zerwał się w Georgii idąc w kierunku wschodnim, zniszczył w swym przebiegu przestrzeń przeszło kilometr szeroką na blizko sto mil rozległości. Całe wsie, ogromne lasy padły jak trawy podcięte kosą, niezliczona liczba zwierząt a co gorzej 150 ludzi zabitych i 300 rannych stało się ofiarą rozszalałej burzy. W Georgetown, w Missisipi, kościół metodystów runął podczas nabożeństwa; pastor padł z roztrzaskaną głową, wiernych ocaliły ławki w których padli na kolana, gdyż spadające części dachu oparłszy się o nie, głów nie dosięgły. Tenże sam los spotkał stojący w pobliżu kościół nawróconych murzynów, tu kilku zostało zabitych, kilkunastu ciężko rannych. Klęską Ameryki Południowej są trzęsienia ziemi, Północnej trąby powietrzne i cyklony dość często powstające.

*** Jeźli coraz nowe odkrycia i wynalazki tak olbrzymim jak w ostatnich czasach postępować będą krokiem, to możemy obiecywać sobie, iż przyjdzie czas, że pod względem rozmawiania się i podróży, odległość mało bardzo znaczyć będzie.

Obecnie mechanik Fontaine, w Stanach Zjednoczonych zbudował parochód mogący z łatwością przebiedz w ciągu godziny 130 kilometrów, t. j. blizko 21 i pół mil polskich. Średnica kół motorowych tego parochodu zredukowana jest do 1,77 metra, gdy w lokomotywach najnowszej konstrukcyi wynosi 2,1 metrów. Dla pokonania trudności jakie zadanie to przedstawiało, Fontaine urządził po nad kotłem koło bezpośrednio poruszane tłokiem, oddziaływającym wyłącznie tylko na koła pozostające na szynach, a to za pośrednictwem drugiego koła o daleko mniejszej średnicy. Szybkość tego ostatniego koła, zostaje znacznie powiększona w skutek doskonałego ustosunkowania jego do promieni dwóch współśrodkowych kół dolnych. Krzywizna tłoków dochodzi 60 centymetrów, średnica 40 cent. cylinder parowy ma 1,2 metrów średnicy, a tylko 3,5 metrów długości.

Parowóz Fontaine'a należy do najgodniejszych podziwu wynalazków mechaniki; dozwala on przebyć w ciągu dnia 516 mil polskich. Gdyby nie poważne sprawozdania, możnaby parowóz podobny uważać za wymysł jakiegość bajkopisarza.

*** W blizkości wsi Beppo-moura, w Japonii, istnieje jaskinia, do której od wielu już wieków, nikt wejść się nie odważył, albowiem legenda ludowa opiewa, iż jaskinię tę zamieszkuje jakiś bożek niedozwalający wstępu do swego państwa, i straszną śmiercią zginąłby każdy ośmielający się przekroczyć ten zakaz. Ale jak wszędzie obecnie, tak i w Japonii nie brak niedowiarków, otóż jeden z takich lekceważąc wolę bożka, wdarł się do jego przybytku i rzeczywiście odkrył bożyszcze XIX wieku, przed którem świat cały bije dziś czołem to jest *złoto*. Całą przestrzeń groty zapełniają złote żyły. Odbyte następnie poszukiwania wykazały, że jest to kopalnia bardzo bogata i przedsięwzięto już przygotowania do wydobywania drogocennego kruszczu.

*** W przędzalni bawełny w miasteczku Kirkeldey, w Anglii urządzono maszynę motorową, której koło wprawiane jest w ruch przez poruszanie się myszy. Każda mysz odbywa codziennie drogę 10 do 11 mil angielskich i przędzie setki nitek bawełnianych. Pożywienie tych pracownic stanowi mączka owsiana, której koszt wynosi rocznie na jedną około 6 pensów, a każda mysz zarabia za to w ciągu roku blizko 7 szylingów, to jest prawie 3 rs. według przeciętnego kursu giełdowego. Strącając z zarobku tego koszt pożywienia i 1 szyling na reperacyę maszyny, każda mysz daje przędzalni rocznie 5 szylingów czystego zysku.

Jeden z fabrykantów bawełnianego przemysłu, zachęcony powodzeniem powyższego zakładu, wynajął dom w którym pomieścił 1000 kółek poruszanych przez myszy i obiecuje sobie, że praca ich przyniesie mu rocznie 2,500 funtów szterlingów czystego zysku.

*** Od czasu, gdy (w r. 1872) astronom edymburski, prof. Piazza Smith, zwrócił uwagę uczonego świata na związek zachodzący między widmem słonecznem (linie ciemne atmosferyczne) a zjawiskami meteorologicznemi, wielu obserwatorów podjęło badania nad tym przedmiotem i posługuje się obecnie analizą spektralną powietrzni jako barometrem. Z polskich uczonych nikt zdaje się dotąd nie zajmował się tym przedmiotem i dopiero obecnie zdolny i wiele obiecujący fizyk, p. Witkowski, profesor szkoły rolniczej w Dublanach, korzystając z posiadania wybornego spektroskopu, oddał się odpowiedniem badaniom. Nie przecenia on jednak praktycznej doniosłości tej nowej metody, twierdząc, że jak barometr sam przez się, tak i spektroskop nie będzie nigdy niemylnym prorokiem pogody. Jednakowoż już samo urozmaicenie metod nie jest bez pożytku, bo z ich kombinacyi powstają nieraz dobre pomysły teoretyczne, a zawsze tworzy się pełniejszy obraz rzeczywistego stanu rzeczy.

NOWE WYDAWNICTWA.

Złotej Przędzy poetów i prozaików polskich, wyszedł tomu pierwszego zeszyt 3 i zawiera: dokończenie utworów Mickiewicza, życiorys Słowackiego i początek jego utworów lirycznych. Dwanaście zeszytów stanowi jeden tom Złotej Przędzy, każdy zeszyt obejmuje 5 arkuszy druku w wielkiej 8-ce, każdy zatem tom składać się będzie z 60-ciu arkuszy.

Cena zeszytu w Warszawie kop. 35, z przesyłką pocztową kop. 45, ale należytość przynajmniej za trzy takowe wnieść należy.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Іюня 1883 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 27, r. 1883.

STARY ZAMEK.

(La Lizardiere).

ROMANS WSPÓŁCZESNY

przez

Wicehrabiego Henryka de Bornier.

Przekład J. B.

(Dalszy ciąg.)

— Co za szczęśliwy traf! zawołał hrabia; od lat dziesięciu ani jeden dzik nie pokazał się w okolicy — upokarzało mnie to poniekąd. Wielka mi rzecz polować na sarny i jelenie! w braku grubej zwierzyny, trzeba poprzestać na tem, ale co prawda to polowanie dla pań. Dzik, to mi rzecz! to wojna!.. Czy pojedziesz ze mną Janie?

— Chyba że mi każesz, kuzynie, ale wolałbym zostać; chciałbym skończyć rozpoczęty obraz.

— Rób jak chcesz mój chłopcze. Krystyny nie zapraszam, bo wiem że za dobre ma serce aby mogła patrzeć na takie mordy — a zresztą trzeba wstać bajecznie rano. Ale teraz, dobranoc; jutro zobaczycie mnie dopiero późnym wieczorem, jak się spodziewam w towarzystwie zabitego dzika.

To powiedziawszy hrabia wyszedł wydać rozkazy dojeżdżaczom, a Jan pożegnawszy Krystynę udał się do swego mieszkania.

Nazajutrz jeszcze przed świtem zbudził go odgłos myśliwskich trąbek i szczekanie psów; zasnął jednak powtórnie gdy hałas ten ucichł i wstał dość późno. Wyszedłszy przed zameczek, zobaczył Pieyrard'a siedzącego z bardzo smutną i zakłopotaną miną,

— Co tobie Pieyrard'zie?

— To, że Klodion pobiegł za sforą pana hrabiego. Trzymałem go na smyczy gdy psy wypuszczano, i miał tak potulną minę iż trudno było go posądzać że ma złe zamiary — i dla tego puściłem go gdy już się myśliwi oddalili. Otóż zdrajca czmychnął i nie zatrzymał się choć wołałem na niego i biegłem za nim.

— A! biedne psisko! zawołał Jan; jeźli spotka dzików gotów rzucić się na nich, a że nie przyzwyczajony do podobnych polowań, mogą go rozszarpać. Nabij nasze dubeltówki kulami, i pójdźmy prędko. Myśliwi mają zebrać się w Vaujour, przeszedłszy las na skos, może zdążymy na czas, gdyż dziki zwykle wyruszają powoli.

W pięć minut później, Jan i Pieyrard zdążali drogo wiodącą z Marcilly do Gauguier; doszedłszy do miejsca gdzie droga zaczyna wznosić się w górę, skręcili na prawo i zapuścili się w las. Był to piękny zimowy poranek; słońce jaśniało na pogodnem niebie, a dość silny wietrzyk wiejący od południozachodu, przynosił z sobą dalekie odgłosy, które stawały się coraz wyraźniejsze. Trąbki myśliwskie grały, psy szczekały odpowiadając im.

Jan i Pieyrard zatrzymali się; nasłuchując.

— Panie margrabio, polowanie nadciąga z tej strony; baczność!

Nabiwszy broń, obaj utkwili oczy w przeciwległą stronę lasu; Pieyrard miał słuszność polowanie zbliżało się ku nim. Nagle spostrzegli dzika biegnącego pędem i dobiegającego do nich. Jan wycelował i strzelił gdy był już tylko o jakie pięćdziesiąt kroków — było to zawcześnie. Szczęściem strzał chybił — i to ocaliło nieprzezornego strzelca. Gdyż jeźli dzik zostanie raniony, wtedy myśli tylko o zemście; jeźli zaś strzał chybi, zwraca się w bok i ucieka. I ten tejże trzymając się zasady, skręcił prędko na lewo i zanim Jan i Pieyrard mieli czas wystrzelić, puścił się w gęste zarośle.

Goniąc za śladem dzika, całe polowanie nadciągało z lasu; najpierw psy, a o jakie sto metrów dalej myśliwi pędzili cwałem. Hrabia i pan Désormes jechali przodem a nieco za nimi zdawało się Janowi iż dostrzega unoszoną wiatrem długą amazonkę panny Rajmundy. Nie miał jednak czasu przekonać się o tem, gdyż pobiegł co tchu ku zaroślom w których dzik zniknął, i przybył tam jednocześnie z psami.

— Taiaut! taiaut! krzyknął, wskazując ręką miejsce przez które dzik wpadł w zarośla; ale stanęły nagle, instynktem odgadując niebezpieczeństwo. Jakoż rzeczywiście, w tej tak nadzwyczaj gęstej zaróśli, pełnej cierni i powikłanych z sobą gałęzi, na wilgotnym najeżonym korzeniami gruncie, psy tylko po jednemu i tylko z przodu mogły spotkać się z dzikiem. Daremnie podniecali ich dojeżdżacze, psy wyły tylko i szczekały, nie odważając się uderzyć na tę niezdobytą fortecę.

— Jak tylko Piquefort się cofa, nie ma wątpliwości że żaden inny pies się nie odważy, rzekł hrabia.

I jako biegły strategik zaczął rekognoskować do koła przeklęte, jak mówił, zarośla.

Jan zobaczył Klodiona w pośród innych psów i zawołał na niego — posłuszny pies spełnił rozkaz i stanął przy panu, nie przestając jednak śledzić wzrokiem manewrów swych towarzyszy, obiegających z wyciem ciemne i milczące zarośla. Zdawało się przecież że widok ten jest zupełnie mu obojętny a chwilami spoglądał na pana jak gdyby chcąc dać mu do zrozumienia: bądź spokojny, nie pójdę tam! Uspokojony tem jego zachowaniem się, Jan głaskał piękną jego grzywę, aż nagle Klodion zerwał się i jednym krokiem wpadł w zarośla. W parę minut potem rozległo się głośne ujadanie a po niem żałośne wycie, i Klodion ukazał się na brzegu zarośli, zaledwie mogący utrzymać się i cały krwią zbroczony.

Jan w tej chwili rzucił się na pomoc zwycięzonego bohatera, ale i ktoś inny jeszcze przybiegł mu na pomoc; zeskoczywszy z konia panna Rajmunda pochyliła się nad biednym Klodionem.

— Pozwól mi pan nim się zająć — tylko niech któren ze strzelców pójdzie po wodę do sadzawki tam na lewo.

Rajmunda zabrała małą apteczkę aby módz nieść pomoc w razie zawsze możliwego wypadku na polowaniu — co mogło usprawiedliwiać poniekąd jej nie bardzo stosowną obecność na tej męzkiej zabawie — obmyła podaną wodą krew ktorą zbroczone było biedne zwierzę mówiąc:

— Rany na piersiach i na nodze, choć dość głębokie, nie są niebezpieczne, ale nie można tego powiedzieć o ranie w karku.

I przyklęknąwszy na trawie, zaczęła opatrywać Klodiona; Jan jej dopomagał ale widać nie szło mu tak zręcznie gdyż Rajmunda powiedziała mu:

— Nie miej mi pan za złe jeźli to tylko śmieszne zarozumienie, ale zdaje mi się że jestem lepszym od niego weterynarzem.

Skończywszy opatrunek pogłaskała lekko Klodiona, który utkwił w niej wdzięczne i tkliwe spojrzenie. W tejże chwili rozległy się dwa wystrzały i pan de Chazé nadbiegł wołając:

— Już po nim! zginął niecnota! niech idą wyciągnąć go z zarośli.

— Kto zginął? czy dzik? zapytał przybliżając się pan Désormes.

— A któżby!.. proszę słuchajcie panowie co powiem, i korzystajcie z tej nauczki na wasze stare lata.

I dumny niezaprzeczoną swoją wiedzą i wyższością myśliwską, zaczął mówić poważnie robiąc nacisk na wszelkie szczegóły:

— Obchodziłem bacznie zarośla rozpatrując i myśląc sobie: Nigdy dzik nie wyjdzie z tej kryjówki, jeźli psy nie udadzą się tam za nim, a tego niewątpliwie nie zrobią; lecz gdyby choćby jeden na to się odważył, staremu temu jakby posiwiałemu już odyńcowi, niezawodnie przyszłoby na myśl, że może drugi a nawet i kilku jeszcze mogłoby zaskoczyć go z tyłu, zacznie zatem uciekać co prędzej. Ale jaką obierze drogę? — niewątpliwie najkrótszą jaką mógłby dostać się do lasu Bonne-Fontaine, i będzie się starał przedzierać przez najciemniejsze przejścia. Nie zawiodłem się; poznałem w krzakach szczekanie i żałośne skowyczenie Klodiona, dozwalając odgadnąć że poczuł w sobie kły dzika. Pośpieszam w tę stronę, ale byłem jeszcze o jakie sto kroków gdy dostrzegłem dzika wysuwającego się z zarośli; zaciągnął powietrza i zaczął uciekać. Palę do niego z dubeltówki, zachwiał się, mimo to spostrzegłszy mnie zwrócił się niebawem ku mnie, nie mógł jednak biedz prędko, gdyż kula naruszyła mu płuca, otwierał paszczę i oddychał ciężko. Gdy szedł ku mnie, celowałem do niego, co zdaje się nie podobało mu się bardzo, nie cofał się jednak ani zatrzymywał bo był to zuch prawdziwy. Będąc już tylko o jakie pięć kroków, szerzej jeszcze otworzył paszczę, gdyż coraz więcej tchu mu brakło; ja uznałem że najlepiej będzie właśnie w tę paszczę wpakować mu drugą moją kulę i biedna bestya padł jakby piorunem rażony.

Męztwu jego należy się uznanie, a Klodionowi chwała za jego bohaterskie poświęcenie.

Wszyscy zaczęli winszować hrabiemu, a jednocześnie strzelcy przynieśli dzika rozciągniętego na noszach. Rajmunda kazała zrobić obok niego miejsce dla Klodiona, i waleczny pies został ostrożnie poniesiony na nosze.

Dzień miał się ku schyłkowi i myśliwi zaczynali się rozjeżdżać, pan Désormes najuprzejmiej podziękował hrabiemu de Chazé; zaś panna Rajmunda zapragnęła koniecznie pożegnać się z Klodionem, bo zanim wsiadła na konia zbliżyła się do noszy, przesunęła rękę po długiej jego grzywie, mówiąc do niego z pół uśmiechem:

— Wszak rozumiesz po angielsku, Klodionie, więc odpowiedz mi, proszę:

— *My peace is made with the dog, y hope?* (Spodziewam się, piesku, że zgoda z tobą.

— *Oh! yes, certainly!* odpowiedział Jan.

— *And with the master?* (A z twoim panem)?

— *Mutch alreadly, one day intyrely, if jou are*

kind for the master os for the dog. (Dość już teraz, kiedyś może zupełnie, jeźli będzie pani tak dobrą dla pana jak dla psa.)

Aby uspokoić Czytelników: powiemy że Klodion wyzdrowiał zupełnie po upływie dwóch tygodni; oraz gdy wieczorem dnia tego Jan oglądał troskliwie rany swego ulubieńca, wyszeptał te tajemnicze słowa:

— O! tak, jest dobrą... przystanie!

XIII.

Wystawa sztuk pięknych

W kilka dni później pan Désormes przyjechał do Marcilly z pożegnaniem; Raul tylko mu towarzyszył, gdyż Rajmunda właśnie w przeddzień wyjechała do Paryża ze swoją panią do towarzystwa, mistres Oppert. Miała tam zająć się urządzeniem apartamentów na zimę, gdyż zbliżało się otwarcie Izb, i obowiązki senatora odwoływały do stolicy agronoma z Bruyères.

Pożegnanie było bardzo przyjacielskie. Jan przedstawił panu Désormes Klodiona najzupełniej wyleczonego, prosząc aby raz jeszcze podziękował od niego pannie Rajmundzie.

Do końca zimy nic ważniejszego nie zaszło. Jan pracował z niezmordowaną wytrwałością; Krystyna podziwiała i cieszyła się niewymownie z tak wielkiej zmiany w usposobieniu kuzyna; Marylka nie nabrała ochoty uczenia się grać na fortepianie; hrabia pełnił obowiązki mera z ogólnem zadowolniem, nie wyłączając nawet dużego Pitois, który raz na zawsze wyrzekł się stawiania opozycyi.

W ciągu tych zimowych miesięcy restauracya Lizardière szybko postępowała; podniecany częstemi listami panny Rajmundy, budowniczy nie zaniedbywał się w pracy, nie mniej gorliwie pilnując szpitala w Chateau-la-Vallière, którego budowę Jan mu polecił.

W marcu, hrabia i hrabina de Chazé poznali nareszcie powód nadzwyczajnej gorliwości z jaką Jan oddawał się malarstwu; wprowadził ich bowiem do swej pracowni w chwili gdy światło dzienne było najwłaściwsze do ocenienia obrazów, i rzekł pokazując im dwanaście wielkich krajobrazów:

— Proszę powiedźcie mi szczerze jak wam się podobają i wskażcie dwa najlepsze z nich.

Prędki i niecierpliwy, hrabia zawołał nie rozpatrując się długo:

— To *Polowanie na lisa* i ten drugi krajobraz przedstawiający *Polowanie na dzika.*

Krystyna rozważniejsza i więcej znająca się na malarstwie, nie tak pośpiesznie sąd wydała.

— Tak, rzekła nareszcie, co do *Polowania na dzika* zgadzam się z Leopoldem; ta młoda kobieta której rysy zaledwie dojrzeć można, pochylona nad Klodionem; mąż mój którego silną postawę, działalność i energię Jan odtworzył doskonale nie malując jednak portretu; krajobraz którego niezrównanie oddane powietrze zdaje się drgać w pośród ostatnich oszczędnych przez zimę liści; ten dzik powalony na trawę a jednak groźny jeszcze; psy zaledwie ośmielające patrzeć się na niego; konie widocznie zziajane prędkim biegiem — wszystko to tchnie życiem i prawdą. Mniej mi się podoba *Polowanie na lisa;* koloryt nieco rudawy, jakby chciał przybierać barwę szerści zwierza. Wybrałabym *Zachód słońca w stepie:* w krajobrazie tym jedyną żyjącą istotą jest ów ptak drapieżny unoszący się pod czerwonem jakby krwią zaszłem sklepieniem nieba. Jakaż tu wzniosła prostota, jaka prawdziwa przyroda!.. Te dwa krajobrazy bardzo, bardzo mi się podobają.

Hrabia trwał przy swojem zdaniu; jako myśliwy wyżej cenił polowanie niż wszelkie, choćby najpiękniejsze *Zachody słońca.*

— Więc skoro zdania nie są jednozgodne, niech Marylka rozstrzygnie, rzekł Jan.

Dumna ze swego zadania, Marylka przysunęła się do obrazów, popatrzyła na nie uważnie i zapytała z wielką powagą:

— Ale, najpierw, powiedz mi, kuzynku Janie, co chcesz zrobić z temi obrazami?

— Masz słuszność, Marylko, powinienem był powiedzieć to z góry: oto dwa wybrane krajobrazy zamierzam posłać do Paryża na Wystawę.

— Brawo! krzyknął hrabia.

— Myślałam właśnie o tem, rzekła hrabina.

— Kiedy tak, rzekła z powagą Marylka, to zdaje mi się że lepiej nie posełać dwóch polowań; złośliwi mogliby powiedzieć że Jan nic innego malować nie umie.

— Oh! oh! zawołał uradowany hrabia; oh! oh! moja córunia będzie taka rozumna jak jej matka.

Krystyna spojrzeniem podziękowała mężowi, i przycisnąwszy do serca Marylkę, ucałowała ją serdecznie. *Zachód słońca w stepach* stanowczo odniósł pierwszeństwo.

* * *

W miesiąc później, Jan de Lizardière stał się sławnym — powodzenie i rozgłos jakby grom spadły na niego, przyklaskiwano mu tem głośniej że nikomu nie był znanym. Katalog Salonu podawał jego nazwisko i adres — prócz tych nikt nic o nim nie wiedział. Publiczność miewa niekiedy chwile tak nagłego zapału—a to z dwóch przyczyn: pierwszą jest szlachetna potrzeba uwielbiania czegoś lub kogoś; powtóre, mniej szlachetna potrzeba zmiany. Niesłusznie oskarżają powszechnie tłumy o złośliwą radość jaką ma im sprawiać strącanie z piedestałów własnych swych bożyszcz — nie! one tylko wielkiej doznają rozkoszy zastępując je innemi.

A potem malarze i snycerze tak licznych mają zwolenników, iż ci pochłaniają niezliczoną liczbę marmurów, dzieł sztuki z bronzu i obrazów. Malarze raczej użyczają sobie wzajemnie poparcia niż szkody współzawodnictwem, i każda coroczna Wystawa może mieć swego *lwa,* nie zniechęcając tem bynajmniej i nie odbierając odwagi młodym lwiątkom ostrzącym zęby.

Tak więc, bohater nasz, Jan de Lizardière, był *lwem* wystawy z roku 1869. Mistrze krytyki postawili go obok Corot'a, Courbet'a, a nawet pod wielu względami i wyżej od nich. Reporterowie dzienników, chcąc okazać się dobrze zawiadomieni, starali się zasięgać jak najwięcej szczegółów o szczęśliwym zwycięzcy; a że nikt nic o nim nie wiedział; można było głosić co się komu podobało. Rozpowiadano tedy że nazwisko Jan de Lizardière jest tylko pseudonimem, i jedni twierdzili że prawdziwym twórcą *Polowania nadzika* był jakiś zakonnik któremu przełożeni nie pozwalali dać się poznać; inni znowu zapewniali że obraz jest dziełem jakiejś młodej nauczycielki Angielki, a ktoś nareszcie dowodził że *Polowanie na lisa* jestto dawny obraz flamandzki znaleziony w jakimś starym zamczysku, i odnowiony przez profesora rysunków z lyceum La Flèche.

Z pomiędzy wszystkich tych zaimprowizowanych historyek, najbliższą prawdy była podana przez reportera, który, może dzięki kilku słówkom z jakiemi wymówił się pan Désormes, ułożył nader dramatyczną opowieść o pojedynku w którym Jan de Lizardière miał zabić dwóch inżynierów węgierskich, i wymienił ich nazwiska.

Jan dowiedział się o tem wszystkiem od pewnego kupca obrazów który nalegał na niego usilnie aby przybył do Paryża, pogodzić dwóch zapalonych amatorów, bardzo bogatych, Anglika i Amerykanina, z których każdy chce koniecznie nabyć oba jego krajobrazy *Polowanie na dzika* i *Zachód słońca w stepach.*

Łatwo pojąć jak ucieszono się tem w Marcilly; radość Krystyny była cicha i poważna, radość hrabiego głośna i krzykliwa.

— Chciej zrobić mi tę przyjemność i jedź zaraz jutro rano, wołał, nie wypada kazać długo czekać Anglikom i Amerykanom.

— Nie, kochany kuzynie, jutro sobota nie wyjadę aż w poniedziałek.

— A to czemu? krzyknął hrabia.

— Temu że jutro jest niedziela, panie hrabio, odrzekł wchodzący właśnie proboszcz z Marcilly.

— Aha! od pierwszego słowa ksiądz proboszcz wypalił mi nauczkę! zawołał hrabia. Co prawda, czasami przychodzę na Mszę przed samą dopiero Ewangelią — *mea culpa* — ale mam też straszny żal do księdza proboszcza. Od miesiąca przywłaszczył sobie ksiądz proboszcz mego kuzyna... tak, tak, od czasu wysłania swoich obrazów na Wystawę, Jan całe dnie przesiaduje na probostwie — a ja daremnie łamię sobie głowę co tam za zmowę knujecie. Czytałem kiedyś w *Siécle* że duchowieństwo zaczyna coraz wszechwładniejszy wpł yw wywierać, pewnie i tu chodzi o coś ważnego?

— Zgaduje pan hrabia, i niedługo, może już jutro, pozna pan naszą tajemnicę, odrzekł proboszcz.

— Zgoda, księżę proboszczu, ale tymczasem proszę odpowiedzieć mi zaraz krótko a węzłowato. Co proboszcz wybiera: czy zostanie z nami dziś na obiedzie, czy też woli abym zaprenumerowa ł dwa egzemplarze *Siecle'a;* jeden dla mnie, drugi dla niego?

— O! panie hrabio, rzecz ta wymaga głębokiego namysłu... Nie odmawiam bezwzględnie egzemplarza *Siecle,* ale nie odmawiam też bynajmniej obiadu. Tylko niech pan hrabia nie zapomina co się tyczy zaprenumerowania gazety zrobiłem zastrzeżenie.

— Jest w tem jakaś zasadzka, księżę proboszczu... ale chodźmy do stołu.

Przekonamy się że proboszcz miał swoje powody, żądając aby Jan był na Mszy nazajutrz.

Hrabia i hrabina uważali iż przed kościołem zebrał się tłum liczniejszy niż zwykle. Marylka której wzroku nic ujść nie mogło, zaledwie uklęknąwszy w ławce, trąciła nieznacznie matkę, wskazując jej spojrzeniem wielki ołtarz. Krystyna zadziwiona została równie jak jej córka. Szeroka niebieska zasłona pokrywała w głębi odkryty zwykle koniec chóru romańskiego kościołka, co nigdy dotąd nie miało miejsca musiało więc zwracać uwagę. Niedługo jednak obecni czekali na wytłomaczenie.

(*D. c. n.*)

PANI TEODORA.

przez

Panią Klementynę Helm.

Przekład z niemieckiego.

przez

K. P.

(Dalszy ciąg.)

Jednocześnie toczyła sią także rozmowa pomiędzy professorem i jego żoną, tylko, niestety! nie tak serdeczna i zgodna:

— Doprawdy, Augusto, doprowadzasz mię do rozpaczy twoją nieroztropnością, mówił Felsing drżącym z gniewu głosem. Ileż to niedorzeczności dziś powiedziałaś? Szczęściem że zdołałem ci przerwać zanim twoje gadulstwo stało się zbyt szkodliwem.

— Widzę że w końcu dojdzie do tego że nie będę śmiała ust otworzyć, żeby nie narazić się na twoje wymówki, odpowiedziała pani Felsing z głośnem westchnieniem. Cóż tak złego powiedziałam?

— Więc to niczem jest dla ciebie że pozwoliłaś sobie mówić o Gahlen'ach tak jak mówiłaś? że dałaś poznać iż nie życzyłem sobie aby Gahlen został dyrektorem? Jakże można być do tego stopnia bez rozumu i taktu.

— Wszakże sam mówiłeś to nieraz do mojej matki, że popełniono najstraszniejszą niesprawiedliwość pozbawiając cię miejsca które ci się należało? Jeśli nie chciałeś abym o tem wiedziała, to po co odzywałeś się z tem przy mnie. Nie może przecie być nic tak złego w okazaniu że się uczuło otrzymaną zniewagę.

— Tak, nic złego, tylko niedołęztwo, głupota! zawołał rozgniewany profesor. Ale na co się zda chcieć coś wytłómaczyć tak zakutej głowie że nic zrozumieć nie potrafi? Radzę ci więc tylko zastosować się ściśle do tego co ci powiem: pamiętaj więc żeś powinna zawsze mówić o Fryderyku Gahlen i jego żonie z największemi pochwałami, choćbyś miała zupełnie odmienne przekonanie; jedynie do mnie lub do twej matki wolno ci wypowiadać szczerze twe myśli. Mówiąc z ojcem będziesz się starała przedstawić mu nieznacznie ich złą stronę, szczególniej co się tyczy zalotności tej pięknej pani. Dla niej zaś masz zawsze okazywać się życzliwą i uprzedzającą; czy rozumiesz? Nie zapominaj czego żądam, i staraj się abym mógł być z ciebie zadowolnionym.

— Ale w jakim celu?..

— Bo ja tak chcę, odpowiedział tak rozkazującym głosem, że biedna kobieta pomimo gniewu i oburzenia nie śmiała wymówić ani słowa. Gdy weszli do domu pani Felsing przeszła koło męża jakby go nie widziała, pobiegła do pokoju dziecinnego, zamknęła drzwi na klucz, padła na kolana przy łóżeczku i gorzkiemi zalała się łzami.

— O mój Boże! mój Boże zawołała łkając, o czemuż jestem tak nieszczęśliwą!

Płakała długo dręczona bolesnemi myślami. Poszła za mąż nie z miłości wprawdzie, ale w tem przekonaniu że będzie szczęśliwą, gdyż ten któremu przyrzekła rękę umiał się podobać wszystkim a zwłaszcza jej matce. Lecz zaraz po ślubie układne obejście pana Felsing ustąpiło miejsca gburowatości, ona zaś nie obdarzona charakterem łagodnym i uległym, wyrzucała mu to ostro, i tym sposobem ściągała na siebie coraz cięższe udręczenia. Ciągłe przykrości domowe wyrobiły w niej jakieś cierpkie żółciowe usposobienie, zdradzające się w jej obejściu i wysłowieniu. Prócz tego z powodu niezbyt otwartego umysłu, ściągała na siebie często upokarzające wymówki męża, tak dalece że ją przerażała każda wizyta na którą wybierali się razem, gdyż prawie po każdej z nich wyrzucał jej brak taktu i nieumiejętność znalezienia się w towarzystwie. Biedna kobieta udała się do matki wzywając jej pomocy i opieki, ale napróżno.

— Najpierwszym obowiązkiem żony, powiedziała, jest uległość dla męża. Twój jest rozumny przezorny, potrafi sobie wyrobić stanowisko na świecie. Powinnabyś mu być wdzięczną za to że cię strofuje gdy się odezwiesz niewłaściwie, gdyż tym sposobem chroni cię od popełnienia nie jednej niedorzeczności która mogłaby wam przynieść wiele szkody. A ty się skarżysz jeszcze! Oświadczam ci moja córko że mi się to bardzo niepodoba. Każdy z nas musi dzwigać krzyż dla niego przeznaczony, trzeba więc nauczyć się dźwigać go w milczeniu; twój zresztą niezbyt jeszcze ciężki.

Umilkła nieboga, ale krzyż z każdym dniem stawał się cięższym.

Dziecko obudziło się nagle, a zobaczywszy matkę uśmiechnęło się i wyciągnęło do niej rączki.

— Mamo! Ernest był grzeczny; co dla niego przyniosłaś?

Ten miły głosik, ta dziecięcia twarzyczka rozpro mieniona radością, była dla upokorzonej i prawie zrozpaczonej kobiety promykiem słońca rozpraszającego ciemności. Twarz jej zmieniona pod wpływem gniewu i boleści złagodniała nagle, uśmiechnęła się do synka, wyjęła z kieszeni, zaopatrzonej suto przez dobrą panią Wunderlich w przysmaczki dla jej dzieci, który natychmiast białe drobne ząbki przedzieliły na dwoje.

— Wszakże i dla Gustawa masz cukierek mamo? zapytał chłopczyk zwracając się do stojącej obok kolebki w której spał jego braciszek.

Matka ucałowała rumianą twarzyczkę śpiącej dzieciny, położyła cukierek na krześle aby młodszy synek spostrzegł przebudziwszy rano, i wróciła do Ernesta.

— Śpij teraz moja pieszczotko, mój skarbie, rzekła poprawiając poduszki. Może jutro znajdę jeszcze coś dobrego dla grzecznych dzieci.

Chłopczyk uśmiechnął się radośnie, zebrał z kołdry okruszynki, opuścił jasnowłosą główkę na poduszki i zasnął wkrótce. Matka stała czas jakiś jeszcze przy łóżeczkach dzieci, uspokojona widokiem tych niawinnych istot, których przywiązania mogła być pewną. Czy nie powinna w tem widzieć wynagrodzenia za swe zawiedzione nadzieje? Odtąd przy nich będzie szukać szczęścia i spokoju i dla nich znosić cierpliwie wszelkie zmartwienia i gorycze życia.

X.

Młode małżeństwo.

Trudnoby znaleźć coś równie uroczego jak widok młodego małżeństwa, rozpoczynającego wspólne życie. Wszystko w nich i około nich oddycha pełną powabu świeżością, wszystko im mówi o szczęściu i budzi w nich błogie nadzieje. Jeszcze nie znają gorzkich zawodów, które tyle już słabych serc złamały; nie domyślają się że nie będą z sobą zawsze mówić o swej miłości, że mogliby nawet dojść stopniowo i nieznacznie, po pewnym przeciągu czasu, do zimnej dla siebie obojętności.

Zresztą Fryderyk i Teodora tworzyli parę wyjątkowo dobraną. Oboje młodzi, piękni, obdarzeni wyższemi zdolnościami, zdolni zrozumieć się wzajemnie, zdawali się mieć prawo do szczęścia, jakiem los, często tak gorzki i posępny, może obdarzyć swych ulubieńców. Wprawdzie Teodora nie cieszyła się ciągłą obecnością męża, jak wciągu podróży do Włoch, ponieważ jego obowiązki zatrzymywały go większą część dnia za domem; ale jakaż to była radość gdy wracał, jak przysłuchiwała się czy nie usłyszy odgłosu jego kroków, jak śpiesznie wybiegała na przeciwko niemu, aby go wprowadzić do ich wesołego domku.

Miała zawsze coś do opowiedzenia; to o wizycie kogoś z sąsiadów, to o grzeczności mleczarza który przyozdobił kwiatami dzbanek przeznaczony dla nich, jako dla swych nowych klientów. Dzięki wszechwładnej potędze pierwszej miłości, każdy przedmiot, każde najdrobniejsze nawet zdarzenie przedstawiało im się w poetycznem świetle. Bezwątpienia, ta szczęśliwa para posiadała wszelkie warunki szczęścia, począwszy od najgłówniejszych aż do mniej ważnych. Co do tych ostatnich obdarzyła niemi kochająca ręka, jej to zawdzięczali ładne i wygodne meble, ona zapełniła szafy srebrem, piękną porcelaną, bielizną i wszystkiem czego potrzebować mogli; nie brakło nawet miotełki do sukien umieszczonej w zgrabnym koszyczku, i ozdobionej różową przepaską, wszakże miała być używaną przez młodą mężatkę.

Pani von Kleist wiedząc że córka jej nie ma najmniejszego wyobrażenia o gospodarstwie i kuchni, wyrzekła się dla niej na czas jakiś usług zręcznej i wiernej Gryzeldy, która tak doskonale wywiązywała się ze swego zadania, że Teodora dziwiła się samej sobie iż mogła obawiać się obowiązków ciężących na pani domu, gdy te obecnie tak jej łatwo było spełniać.

Gryzela pod kierunkiem nieporównanej ciotki Polusi poczyniła zadziwiające postępy we wszystkich gałęziach gospodarstwa domowego. Żywa i pracowita, ucieszona że panuje wszechwładnie w kuchni pięknej, w której nowiutka miedź połyskiwała tak wesoło, pracowała gorliwie od rana do wieczora; prała, czyściła, prasowała, a Teodora przyzwyczajona spuszczać się na nią we wszystkiem, nie wglądała wcale w jej czynności. Wprawdzie z początku, pociągnięta powabem nowości chciała powziąść wyobrażenie o głównych zajęciach w domu, ale wyraz zadziwienia, prawie szederstwa, malujący się na twarzy służącej która miała zastąpić Gryzeldę gdy ta odejdzie, jej śmiech, zaledwie że nie głośny, gdy pani powiedziała coś zdradzającego jej zupełną nieświadomość rzeczy, zniechęciły ją wkrótce, i bez wahania złożyła swą władzę w ręce Gryzeli. Ta jednak nie mogła ją uchronić od drobnych kłopotów, jak naprzykład gdy trzeba było pokrajać pieczeń, a tak Fryderyk jak jego żona nie wiedziali jak się wywiązać z tego zadania.

— Ba! zawołała w końcu Teodora, ty zacznij krajać z jednej strony, ja z drugiej, a tym sposobem dojdziemy z pewnością do środka.

Ta wspólna walka o zdobycie pieczeni, grożąca wylewem tłustego sosu, nie przypadła do smaku Fryderykowi.

— Nie, rzekł z uśmiechem, pokraj sama; czy nie wiesz że kto lepiej wywiązuje się z tego trudnego dzieła, może być pewnym że pozyska przewagę w domu?

Teodora postawiła śpiesznie półmisek przed mężem.

— O! w takim razie nie chcę wchodzić w twoje prawa, rzekła pół poważnie pół żartem: nie cierpię kobiet chcących przewodzić swym mężom, i mam nadzieję że nie będę do nich nigdy zaliczoną. Oddaję ci godła twej władzy, dodała podając mu wielki nóż i widelec, ja wolę zostać twą uległą żoną.

W rzeczywistości rada była uwolnić się choć od tego zajęcia, bo i tak pozostawało jej wiele jeszcze niemiłych dla niej zatrudnień. Do tej liczby należało staranne utrzymanie bielizny i ubrania Fryderyka, gdyż przyzwyczajony do wzorowego porządku, cierpiał nad tem gdy miał wyjść w mankietach bez guzików — nie mówimy wystrzępionych, bo dotąd cierpliwość jego nie była wystawiona na tak straszną próbę — lub w ubraniu nie wychędożonym starannie. Otóż dla Teodory wszystko to było nic nie znaczącemi drobnostkami, które często zaniedbywała.

— Moja żoneczko, zapomniałaś mi przyszyć guziki do mankietów, o co prosiłem cię wczoraj wieczorem, a teraz nie mam już czasu przebierać się, rzekł niecierpliwie Fryderyk siadając po śniadaniu.

— Przyszyję ci je natychmiast, mój drogi, rzekła Teodora biegnąc po igłę i naparstek, zabierze ci to zaledwie parę minut czasu.

Szczęściem sztuka przyszywania guzików nie była dla niej zupełnie obcą, i Fryderyk ucałował zgrabne paluszki które tak zręcznie pracowały dla niego.

Podobne sceny w takim tylko razie nie pociągają za sobą złych skutków gdy zdarzają się rzadko, tu zaś nieszczęściem powtarzały się tak często, że Fryderyk przeszedł od łagodnych wymówek do wyraźnej i ostrej nagany, zwłaszcza gdy się tak śpieszył że nie można było myśléć o przyszyciu guzików. Teodora zasmucona tem że zrobiła mu przykrość i rozgniewała go, wyrzucała sobie swoje niedbalstwo, czyniła najlepsze postanowienia, które jednak po największej części pozostawały tylko postanowieniami, i nowe zapomnienia sprowadzały za sobą wzrastający gniew i wypływające z niego przykrości.

Jednak prawdziwie ciężkie życie dla Teodory rozpoczęło się od dnia w którym odjechała Gryzela, zmuszona wrócić do starego ojca tak długo pozbawionego jej opieki, i wtenczas też dopiero zdołała ocenić wartość utraconego skarbu. Gryzela rozporządzała według własnego uznania zapasami znajdującemi się w spiżarni i piwnicy, i wyjeżdżając klucze od nich odniosła Teodorze, bez których teraz nikt już nie powinienby wchodzić do tych domowych skarbów. Ciągłe wycieczki do kuchni i spiżarni sprawiały największą przykrość młodej gospodyni, tem więcej że nie wiedząc co, i w jakiej ilości, mogło być potrzebne do przyrządzenia obiadu, była na łasce służącej, nie zdolnej pod żadnym względem zastąpić poczciwej Gryzeldy. Biedna Teodora uciekała się do przepisów kuchennych pozostawionych jej przez ciotkę Polusię, czytała je z zajęciem które zadziwiłyby ją kilka miesięcy temu ale i te były dla niej pod wielu względami niezrozumiałe, gdyż jak wszystkie podobne przepisy wymagały już pewnej wprawy i znajomości rzeczy. Na domiar złego, Lizeta wiedząc że pani nie zna się na kuchni, a z drugiej strony przekonana o swej mądrości, odrzucała nieśmiałe uwagi pani tak zuchwale że zasługiwała aby ją natychmiast odprawić, na co jednak łagodna Tedora nie mogła się zdobyć, pomimo że hardość Lizety wzmagała się prawie z każdym dniem.

Prócz tego i to jeszcze niecierpliwiło Teodorę że dla tak nieznośnych dla siebie zatrudnień musiała odrywać się od najmilszych sobie zajęć. Dawniej mogła cały dzień przepędzić przy stalugach, grać, czytać, uczyć się, a nikt nie śmiał jej przeszkodzić... Jakże się teraz wszystko zmieniło!

— Proszę pani, kapusta już ugotowana, potrzeba mi teraz okrasy, jajka do zupy, i suchej bułki do obsypania kotletów, odzywał się głos Lizety w tej chwili właśnie gdy pani znudzona domowemi zajęciami, uczyła się najeżonej trudnościami sonaty.

— Przyjdę tam zaraz, odpowiadała niecierpliwie Teodora, gdyż Lizeta wybierała się zawsze nie wporę z podobnemi żądaniami.

Chciała dokończyć jakąś część zanim pójdzie do kuchni: okrasa i jajko nie potrzebne tak prędko, bo do obiadu jeszcze daleko. Na nieszczęście nadszedł jakiś bardzo trudny pasaż, który trzeba było powtórzyć kilka razy aby go spamiętać; potem nastąpiły tony tak piękne, tak melodyjne że nie podobna było oderwać się od nich. W końcu muzyka zawładnęła całą jej istotą; kapusta i kotlety wyszły całkiem z myśli artystki, która zapomniałaby zupełnie o poziomych zajęciach tego świata, na którym nie tylko trzeba jeść samej, co przyszłoby łatwiej, ale jeszcze pamiętać o przyrządzeniu komuś obiadu, gdyby twarz Lizety nie ukazała się znów we drzwiach i gdyby ta milutka istota nie oświadczyła cierpko, że nie będzie temu winna, jeźli obiad się spóźni, ponieważ nie jest czarownicą i dla tego nie potrafi ugotować coś z niczego.

Teodora zawstydzona tym nowym dowodem swego niedbalstwa, wstała prędko i nie śmiała nawet Lizety wyłajać, pomimo że ta okazywała swe niezadowolnienie potrącając garnki i rondle stojące na kominie.

To ciągłe odrywanie się od ulubionych zajęć stało się w końcu nieznośnem dla Teodory, i często gdy trzeba było położyć pendzel lub wstać od fortepianu aby pójść do spiżarni, wyzwalała się od tego mówiąc ho Lizety.

— Wyjmij klucze z koszyka i weź co trzeba.

Tego właśnie życzyła sobie Lizeta, i korzystając z wolności pamiętała zawsze o sobie, ze szkodą niedbałej pani.

Lizeta pomimo swej zarozumiałości nie umiała gotować, i przyrządzane przez nią potrawy wystawiały na ciężką prubę cierpliwość Fryderyka, który przez miłość dla zony połykał—krzywiąc się wprawdzie ale bez wymówek—przesoloną zupę, niedogotowaną jarzynę i wysuszone mięso. Nawet nieporządek w domu tak dla niego nieznośny, z początku wywoływał tylko z jego strony łagodne uwagi, późniéj jednak widząc że to nic nie pomaga, że meble pokrywa coraz grubsza warstwa kurzu, a w szafach panuje największy nieporządek, zaczął poważnie przekładać żonie że powinnaby się starać żeby ich dom choć w części był podobnym, pod względem porządku do domu jego matki. Jednak to jego życzenie wyrażone najprzód delikatnie i z czułością, następnie trochę rozkazująco, nie zostało wcale uwzględnionem, trudno się więc dziwić Fryderykowi jeżeli się gniewał, gdy wracając na obiad znajdował na stole jeszcze nie umyte filiżanki od śniadania, a w pokoju sypialnym łóżka nie posłane i gdy Teodora wśród tego nieładu grała lub malowała, zapominając o wszystkiem innem na świecie.

Teodora wiedząc że ją w takim razie czekało ostre połajanie, doznawała prawie wyrzutów sumienia oddając się muzyce lub malarstwu, którem dawniej zawdzięczała najprzyjemniejsze chwile w życiu; niepokoiła ją ta myśl że może Fryderyk dostrzeże znów coś takiego co go rozgniewa, i zaledwie usłyszała jego kroki, odbiegała od stalug lub od fortepianu, jak zbrodniarz obawiający się aby go nie schwytano na gorącym uczynku, i brała w rękę jakąś robótkę lub zaczynała ścierać kurz z mebli. Podobne wybiegi niezgodne z wrodzoną jej szczerością, poniżały ją w jej własnem przekonaniu, ale Fryderyk nie zwracał na nie uwagi gdyż miał wiele osobistych przykrości i zwykle wracał do domu zamyślony, stroskany nieprzyjaznemi uczuciami, które okazywali mu już prawie jawnie niektórzy profesorowie.

Felsing szczególniej zdawał się wyszukiwać starannie sposobności rozgniewania swego zwierzchnika, młody zaś dyrektor wiedząc że rachował na to miejsce które on zajmuje obecnie, nie chciał rozdrażniać rany zadanej jego miłości własnej, udzielając jako podwładnemu zasłużoną naganę; Felsing ośmielony pobłażliwością w której widział jedynie dowód słabości, przybrał tak wyzywającą postawę że Fryderyk czuł iż tego dłużej znosić nie potrafi. Nie lubiący się uskarżać, i przekonany że o podobnych rzeczach nie powinno się mówić w domu, milcząc znosił swe przykrości, a Teodora zaniepokojona jego smutkiem i nie odbierając stanowczej odpowiedzi na swe najtkliwsze pytania, przypisywała to milczenie oziębłości wywołanej brakiem porządku w domu, i dziwiła się że ktoś może przywiązywać tyle wagi do drobnostek nie zasługujących nawet aby na nie zwracano jakąś uwagę.

Pewnego dnia gdy Fryderyk więcej jak zwykle rozdrażniony, żartował trochę uszczypliwie z pracowitości Teodory, zajętej tak gorliwie ukończeniem jakiejś akwarelki, gdy tym czasem Lizeta chodziła przez cały dzień z założonemi rękami, biedna kobieta odpowiedziała mu smutnie:

— Przyznaj, mój drogi, że wolałbyś abym nie posiadała żadnego wykształcenia, żadnych talentów, była nawet ograniczoną, ale dobrą gospodynią.

Nie chciał przyznać że w tem przypuszczeniu było trochę prawdy, gdyż dotknąłby tem zbyt boleśnie Teodorę, odezwał się więc z uśmiechem:

— Sądzę, moja droga, że nie uwierzyłabyś mi gdybym powiedział coś podobnego. Zdaje mi się tylko że te zajęcia tak dla ciebie miłe nie powinnyby pochłaniać wyłącznie twego czasu i twej uwagi, ani też doprowadzać do zaniedbania obowiązków gospodyni domu. Talenta które posiadasz można porównać do sztukateryi zdobiących gmachy, przyjemnie nam patrzeć na nie, ale cóżby się stało gdyby budowniczy zajął się niemi wyłącznie, a nie pomyślał o tem aby fundamenta i mury były trwałe. Jako młoda panienka mogłaś zajmować się tem jedynie co ci sprawiało przyjemność, jako żona, powinnaś tylko w chwilach wolnych od poważniejszych zatrudnień, oddawać się swem ulubionem zajęciom.

Teodora nie odpowiedziała ani słowa, była rozdrażniona a nie chciała tego okazać, i przyszło jej wa myśl zdanie Jean-Paul'a:

„Drobne nieporozumienia przed ślubem są jak wiatr północny, łagodny w lecie, a zmieniający się w zimie w mroźny wicher.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 27.

N. 1. Suknia ze stanikiem bluzkowym i paskiem bawetowym, dla panienki lat 10—12. Krój na arkuszu z formami Nr. XVIII fig. 64—66.

Ubranie takie właściwe dla młodziutkich panienek, odrobione było z kretonu blado różowego gładkiego i w rzucik. Oprócz wolantu dolnego, górną, widoczną z pod draperyi część spódniczki, pokrywa szeroki wolant plisowany. Draperya i bluzka szerokim bawetowym pasem opasana, są z materyału w rzucik. Gładką podszewkę pod bluzkę ukroić trzeba podług formy do ryc. 7 i 33 w Nr. 28, w zwierzchnim materyale dodaje się na fałdy ilość oznaczoną linijkami kropkowanemi, na małym modelu fig. 64; całe przody układa się w drobne fałdki a na plecach daje się dwie szerokie do środka schodzące się fałdy. W pasek przykrojony podwójnie podług fig. 66, zaszywa się fiszbiny i zapina go się z tyłu na haftki pod kokardą; rękawki krótkie oznaczone linijką kropkowaną na fig. 64, przymarszcza się na szwie zwierzchnim, do 18 cent. długości. Kołnierz z gładkiego materyału, przykroić podług fig. 65.

N. 2 i ryc. 25 w N. 28. Suknia z paltocikowym stanikiem.

Spódnicę sukni odrobionej z granatowego gładkiego perkalu, zdobiło 7 wązkich, jedna na drugą zachodzących falbanek, objętych wypustką z kretonu w drobną kratkę białą i ponsową. Podwójną draperyą przednią układa się z dwóch prostych, 51 szerokich a 150 cent. długich brytów skośnie w ten sposób, iż z jednego boku widać u dołu tylko 15 a z drugiego 60 cent. garnirunku spódnicy; 3—4 falbanek naszytych na skośnym kawałku, wszywa się pomiędzy dwie części draperyi. Draperyę upina się w sposób wskazany na ryc. 25 w N. 28, z bryta prostego 80 cent. szerokiego a 120 długiego. Stanik paltocikowy z długą baskiną, suto garnirowany koronką 6 cent. szeroką, ma dodaną pod otwarte przody, krótszą kamizelkę, naszytą wzdłuż pliskami 1 c. szerokiemi, z materyału w kratkę a przy baskinie pleców oddzielne upięcie z kawałka 75 cent. długiego a 50 szerokiego i z koronki. Kokardy z aksamitki granatowej 8 cent. szerokiej.

N. 3. Sukienka fałdowana ozdobiona szarfą, dla dziewczynki lat 3—4. Krój podług ryc. 33 w Nr. 23.

Na gładkiej do wzrostu dopasowanej podszewce sukienki, zwierzchni materyał układa się z przodu i z tyłu, w 5 kontrafałd 4 cent. szerokich. Przyszycie spódniczki 20 cent. długiej przykrywa szeroka fałdowana szarfa, przepięta dużą klamrą z konchy perłowej. Na modelu do sukienki z jasno różowego zefiru, falbanki 12 cent. szerokie haftowane były w maszynie kolorem ciemno różowym; do zapięcia z tyłu służą guziczki z konchy perłowej.

N. 5. Koroneczka szydełkowa z ząbkami pikotowemi, robiona przy tasiemeczce „mignardise".

Chcąc mieć zęby z mignardiski trzeba zająć * 1 o: ścisłem 2 pikoty wzięte z dwóch stron tasiemeczki, 9 o: powietrznych, 8 słup. każden w jeden pikot, złączonych 1 o: ści: w kółko u dołu, 9 o: pow.; powtarzać od gwiazdki. W górze obrobić mignardise ząbkami pikotowemi z 4 o: pow. złączonych 1 o: ści: a przedzielanych 1 o: ści: branem w pikot tasiemeczki. Brzeg górny obrobić słupkami przedzielanemi 1 o: powietrznem.

N. 6. Koronka szydełkowa robiona przy tasiemeczce medalionowej.

* Objąć 1 o: ści: szureczek między medaljonami, zrobić 3 o: pow:, 1 o: ści: w pierwszy pikot medaljonu, 10 o: pow:, 6 razy po dwa słup: brane w jeden pikot i spajane w górze 1 o: ści: (słup: środkowe są dwa razy nawijane) dalej 3 o: pow:, 1 o: ści: w czwarte z 10 o: pow:, 5 o: pow:, 1 o: ści: w pikot przy sznureczku, powtarzać od *. Na ryc. 6 wskazane jest wyraźnie jak brać słupki w pikoty medaljonów, ażeby z nich utworzyć zęby. Następnie obrobić koronkę u dołu raz ząbkami z 3 o: pow: przyrabianych do pikotów 1 o: ści:, drugi raz pikotami z 4 o: pow:, łączonych 1 o: ścisłem. Górny szlaczek jest tak łatwy, iż nie potrzebuje opisu.

N. 8. Kołnierzyk stojący z kokardą żabotową.

Kołnierzyk prosty, 5 cent. wysoki, zwany „col militaire", zrobiony był z aksamitu ciemno bordo i ozdobiony koronką przyszytą od spodu, a na wierzch 3 cent, szeroko gładko wywiniętą. Kołnierzyk zapina sią z tyłu, a z przodu przyczepiony jest żabot z 15 cent. długiego a 40 szerokiego kawałka gazy jedwabnej oszytego u dołu koronką 10 c. szeroką, w górze sfałdowanego, w małą bufkę ułożonego i ozdobionego kokardą z białej atłasowej wstążki.

N. 9. Żabot z koronki.

Kawałek koronki 14 cent. szerokiej, 130 cent. długi, zeszyty starannie z brzegów poprzecznych, następnie wzdłuż na dwie strony zeszyty i do 14 cent. długości zmarszczony, układa się sposobem na ryc. 9 wskazanym, na wązkim pasku tiulu. W górze wpiąć można broszkę.

N. 12 i 17—18 oraz 1—2 w Nr. 28. Koszyk ogrodowy do robót.

Postument koszyka 66 c. wysoki, stanowią 4 pałkowato zakończone mocne nóżki w odstępie 22 cent. od dołu złączone płaskim koszyczkiem, mającym 22 cent. środkowej szerokości. W górze przytwierdzona jest do postumentu obręcz robotą koszykarską, mająca 113 cent. obwodu, do której przyczepia się worek na roboty, mający 60 cent. długości. Worek robi się z kawałka kaszmiru lub satynki 120 cent. szerokiego z podszewką odmiennego koloru; brzeg dolny ściśle zmarszczony i ściągnięty zdobi rozeta z materyału w ząbki wyciętego, 8 cent. od górnego brzegu przyszywa się listewkę do nawleczenia na dwie strony sznurów lub wstążek do ściągania. Na ryc. 17 i 18 dajemy w naturalnej wielkości próbki riuszy zdobiącej koszyk, na którą 9 nitek włóczki hamburskiej nawija się na wałeczek drewniany, przeszywa kordonkiem nicianym w sposób wskazany na ryc. 1 w Nr. 28, a przecina podług ryc. 2. Riuszę zdobią pentle z jedwabnego sznura albo pompony z kolorowej włóczki. Na modelu przy postumencie i woreczku bronzowego koloru pentelki w riuszy były ze sznura bronzowego i złotego. Kwasty włóczkowe zawieszone na sznurach jedwabnych ze złotem, wiązane były nitką złotą.

N. 13—14. Przykrycie do powozu chroniące od kurzu i słońca. Haft krzyżykowy i ściegiem pojedyńczym. Deseń rzuciku na fig. 31.

Takie przykrycie chroni w czasie upałów letnich osoby siedzące w powozie od kurzu i działania słońca. Materyał dobiera się lekki i w kolorze o ile można najmniej podlegającym działaniu powietrza. Zalecamy kanwę Jawu albo Aïda w kolorze szarym lub bronzowym, a do haftu włóczkę hamburgską w czystych kolorach. Jeżeli haft będzie robiony ściegami jednakowemi na dwie strony podszewka jest niepotrzebna, pod haft mający lewą stronę daje się podszycie z satynki lub fularu. Model mający 184 cent. długości a 158 szerokości, robiony był na kanwie jawa, grubości próbki ryc. 14, na której podany jest szlak dzielący kwadraty i otaczający brzegi. Środki kwadratów, których było 8 wzdłuż a 6 wszerz liczyły po 60 ściegów w kwadrat, na każdym wyszyte było 5 figur ściegiem pojedyńczym, ktorych deseń dajemy na arkuszu z krojami fig. 31. Model haftowany był włóczką i jaśniejszym od niej cieniem filozeli. Nagłówek do kwastów włóczkowych, wiązanych filozelą, robiony był z cienkiego szpagatu, w dwa oczka na drutach lub szydełkiem.

N. 15—16. Koszule dzienne damskie z kołnierzami. Krój N XI, fig. 38—46 i N. XII, fig. 47—48.

Ryc. 15 i 16 przedstawia dwie damskie koszule, zbliżone krojem i odrobieniem do koszul dziennych mężkich; gorsy gładkie zapinane na guziczki stalowe, mogą być dane z podwójnego lub potrójnego mateyrału i krochmalone podług gustu mniej lub bardziej sztywno. Koszule takie używane są w podróży lub do konnej jazdy.

N. 19. Czepek z denkiem, do kąpieli morskich lub rzecznych. Krój N. XVI, fig. 58—59.

Na fig. 58 dajemy formę połowy denka do czepka z żółtej, cienkiej ceratki, które z przodu fałduje się odpowiednio do długości czółka, fig. 59. Garnirunek czepka stanowi falbanka 4 cent. szeroka w ząbki wycięta której przyszycie zarówno jak i przyszycie denka przykrywa tasiemka szafirowa wełniana z której z tyłu dana zarazem listewka do nawleczenia plecionki do przyciągania. Kokarda z przodu z ceratki wyciętej w ząbki.

N. 20—21. Kapelusz kąpielowy, zrobiony z jednej sztuki.

Na ryc. 21 dajemy rozpłaszczone dno owalne, mające 43 c. środkowej szerokości a 53 środkowej długości, z którego zrobiony jest czepek Otworki do przewleczenia tasiemki nadającej formę czepkowi, dane są z tyłu 6 c. od brzega, a do przodu odsuwają się stopniewo w głąb do 14 centymetrów szerokości na rondko, którego brzeg oszyty jest dla sztywności grubym sznurem ponsowym.

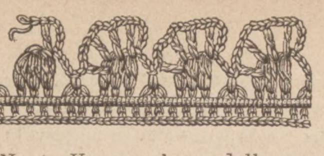


N. 1—3. Ubrania spacerowe dla dam i dzieci.

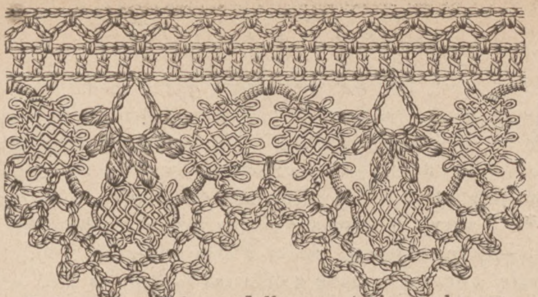
N. 1. Suknia z bluzką i z paskiem bawetowym. Forma na dodatku z krojami N. VIII, fig. 64—66. N. 2. Suknia z kaftaniczkowym stanikiem, zobaczyć plecy na ryc. 25 w N. 28. N. 3. Sukienka fałdowana z szarfą, dla dziewczynki lat 3—5. Krój podług ryc. 33 w N. 23.

N. 22. Ubranie do kąpieli i pływania dla młodej panienki. Krój bluzki N. XIII, fig. 49—53. Krój majtek fig. 8.

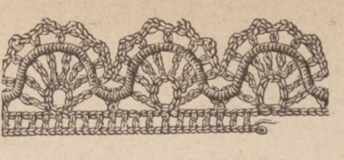
Majtki i bluzka flanelowa, zeszyte są w pasie ze sobą; plecy bluzki trzeba przyfałdować podług znaków, a przody, wykrój karczka, rękawki, pasek i majtki naszyć 4 c. szerokiemi pliskami, wyszytemi włóczką ponsową.



N. 4. Koroneczka szydełkowa z ząbkami ze słupków, robiona przy mignardisse.



N. 6. Koroneczka szydełkowa z tasiemeczką medaljonową.



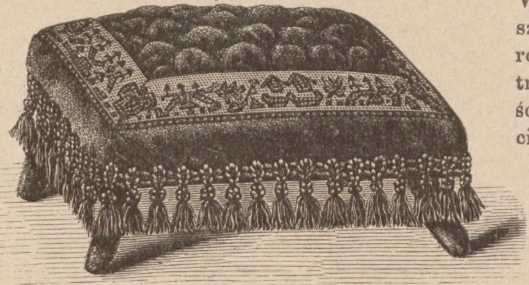
N. 5. Koroneczka szydełkowa z pikotowemi ząbkami przy mignardisse.



N. 8. Kołnierzyk aksamitny stojący, z żabotem.

N. 27. Koszula do kąpieli. Krój N. XIV, fig. 54.

Koszula kąpielowa na ramionach zapinana, zrobiona była z ponsowego szwajcarskiego perkalu; do oszycia służył szlaczek ponsowo haftowany, albo szydełkowa koronka. Przy bocznych szwach w odstępie 20 cent. od dołu, przyszyte były od spodu tasiemki, do przywiązywania koszuli do kolan. Pasek 4 cent. szeroki zmienia koszulę w bluzkę kąpielową.



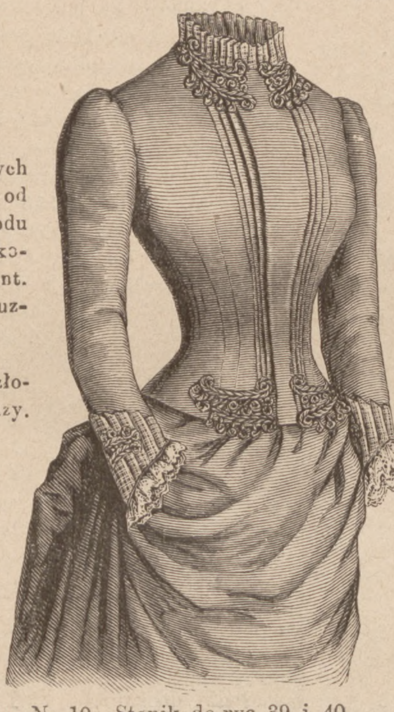
N. 7. Stołeczek pod nogi pokryty pluszem i ozdobiony szlakiem 5 c. szerokim, robionym ściegiem „petit point“ kolorową filozelą na kanwie „ficelle“.



N. 9. Żabot koronkowy.

N. 29. Ubranie kąpielowe złożone z majtek i długiej bluzy. Krój N. III, fig. 8—13.

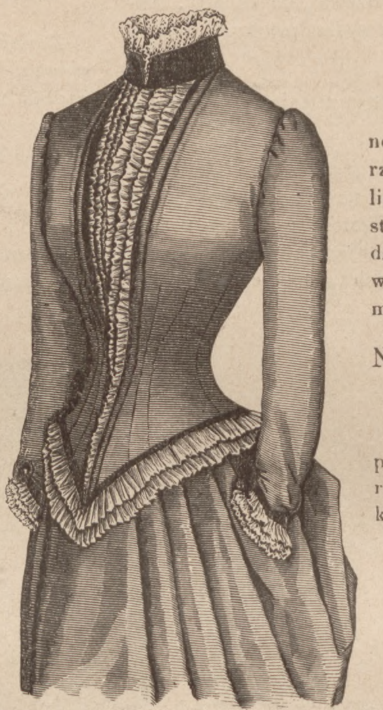
Model odrobiony z flanelki ponsowej, naszyty był pletnią białą wełnianą 1 i pół cent. szeroką. Plecy bluzy są luźno wcięte, a boczki i przody wolno puszczone, te ostatnie zapinają się przez całą długość na guziki. Dolne rozporki majtek zapinane są na podwójne patki flanelowe mające 3 cent. szerokości a 6 długości, przyszyte w odstępie 3 cent.



N. 10. Stanik do ryc. 39 i 40. Kroj N. I, fig. 1—4.



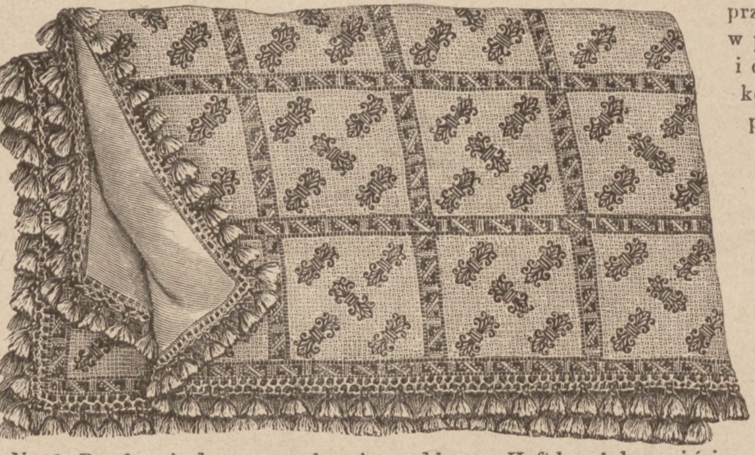
N. 12. Koszyk z woreczkiem, na postumencie stojącym, zobaczyć riuszę na r. 17—18 próbkę wiązania na r. 1—2 w N-rze 28.



N. 11. Stanik z ubraniem kamizelkowem. Zobaczyć także ryc. 10 i 39—40.

N. 30—32. Płaszcze kąpielowe.

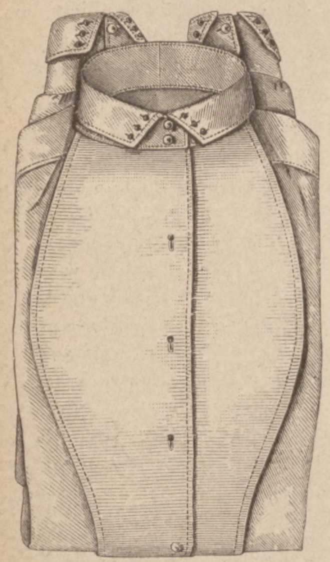
Najwłaściwszym materyałem na płaszcze do kąpieli jest flanelka kolorowa gładka lub w paski, albo „rubberstoff. Na r. 30 podajemy płaszcz z flaneli w paski, do którego nader łatwy model i miary kroju załączamy na fig. 68, *a* oznacza połowę płaszcza, którego brzeg górny z przodu na 26 cent. długości jest skośnie ścięty i dopełniony małym klinikiem 4 cent. długim, następnie w przecięcie 40 cent. długie wszywa się w rękaw *b*, poczem brzeg górny fałduje się do 45 cent. objętości, wszywa w wązki pasek, do którego przyszywa się kołnierzyk wykładany 8 cent. szeroki. Szlaczki 3 c. szerokie wyszyte ściegiem krzyżowym, zdobią płaszczyk przepasany sznurem włóczkowym z kwastami. Na fig. 96 dany jest model i miary płaszcza z krezą, który przy oznaczonem podwójną linijką przecięciu na rękaw, zeszywa się na ramionach, od gwiazdki do gwiazdki, wszywa rękawy, następnie brzeg górny podszywa się na fryzkę 5 c. szeroką satynką szafirową, która u dołu przeszywa się na listewkę do nawleczenia sznura, a poniżej przemarszcza się płaszczyk kilka razy. Ryc. 32 przedstawia płaszczyk z rubberstoff'u z kapturkiem, do którego model kroju dajemy pod N. VIII, na fig. 28 a deseń do wyszycia na fig. 29. Krój płaszcza różni się od poprzedzających trochę skośnem 6 cent. długiem ścięciem na ramionach i wszyciem klinika, i kliniastem w górze 7 cent. szerokiem wycięciem na wszycie rękawa. Kapturek układa się z kwadratu literą *d* oznaczonego, u dołu w róg podwiniętego, przymarszczonego i do sfałdowanego płaszcza, przyszytego, a w górze 3 cent. od brzega podszytego listewką, w którą nawłóczy się elastykę. Oryginalny deseń gnoma dźwigającego raka, pośród koralowych gałęzi, wyszywa się kolorowemi włóczkami.



N. 13. Przykrycie do powozu chroniące od kurzu. Haft krzyżykowy i ściegiem pojedyńczym. Zobaczyć szlak brzeżny i frendzlę na ryc. 14.

N. 33—34. Płaszczyk podróżny. Krój N. X, fig. 32—37.

Płaszczyk z długim karczkiem z przodu i z szerokiemi rękawami, odrobiony być może z każdego miękkiego materyału deseniowego wełnianego, z gładkiej alpagi lub z jedwabnego bastu. Pod karczek i rękawy daje się podszewkę z kolorowej satynki lub fularu. Formę płaszczyka fig. 32—37 trzeba podług oznaczonej miary, przedłużyć w sposób wskazany na małym modelu, fig. 32a do 37a; przody w górze przyfałdowane wszyć do karczka od A do B, spodnią część rękawa przyszyć do przodów od * do K, następnie zeszyć z częścią zwierzchnią od L przez K do B zeszyć ramiona od I do H przyfałdować górną zaokrągloną część rękawa i wszyć w pachę, a dolny brzeg podług znaków przyfałdować i od C wszyć między szew boczny. Zbywającą szerokość pleców sfałdować do spodu a boki przy szwie podpiąć w parę głębokich fałd, widocznych na r. 34.



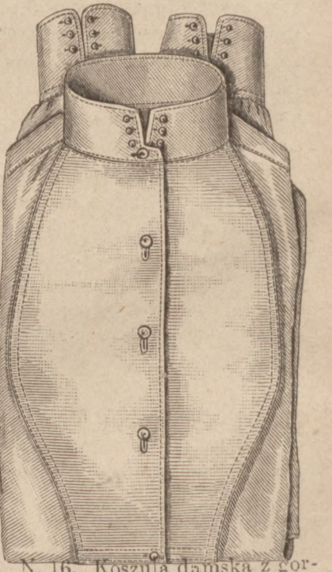
N. 15. Koszula damska z gorsem i wykładanym kołnierzem. Krój N. XI, fig. 38—46.

N. 37. Pelerynka z plisowanym wolantem. Krój N. VII, fig. 26—27.

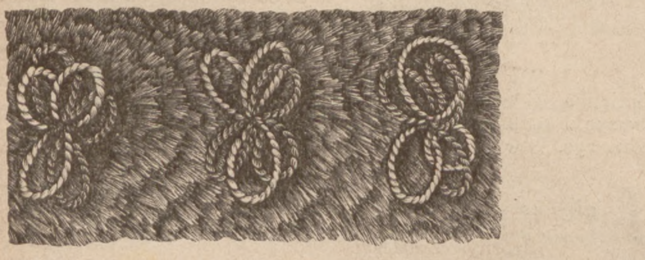
Pelerynkę i stojący kołnierz kraje się z aksamitu, do dołu pelerynki między wierzch i podszewkę jedwabną, wszywa się plisowany wolant mający 310 c. długości, 22 przedniej a 25 c. tylnej szerokości, zrobiony z tego co suknia materyału.

N. 38. Stanik bawetowy ubrany aksamitem i koronką.

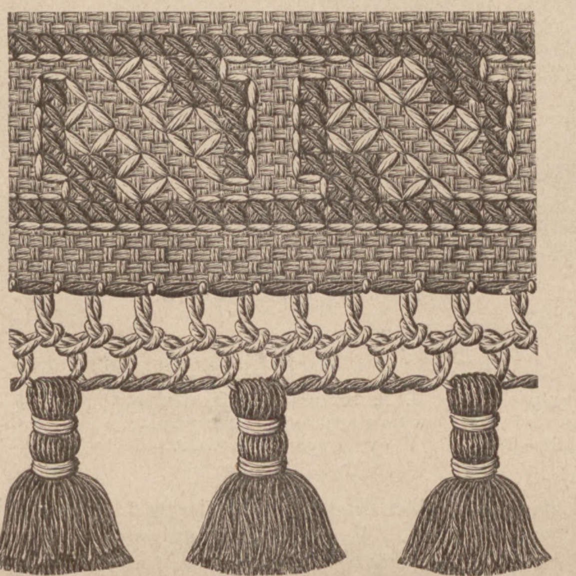
Do przodów stanika dodany jest aksamitny plastron bawetowy, zaczynający się



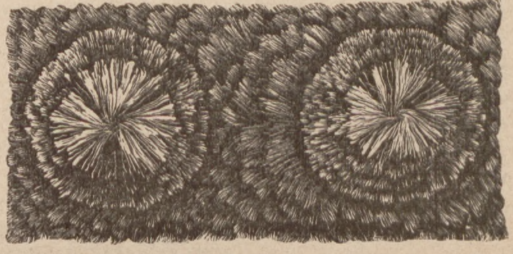
N. 16. Koszula damska z gorsem i stojącym kołnierzem. Krój podług r. 15 i fig. 47—48.



N. 17. Riusza włóczkowa do ryc. 12, ozdobiona węzłem ze sznura złotego i jedwabnego. Wiązanie włóczki na riuszę zobaczyć na ryc. 1—2 w N-rze 28.



N. 14. Szlak i frendzla do ryc. 13.



N. 18. Riusza włóczkowa, ozdobiona pomponami do ryc. 12. Zobaczyć wiązanie riuszy na r. 1—2 w N-rze 28.

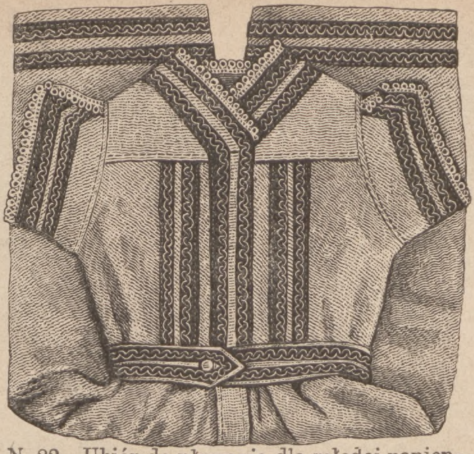


N. 19. Czepek do kąpieli. Krój N. XVI, fig. 58—59.

14 cent. niżej wykroju szyi, mający w górze 11 cent. szerokości, na wcięciu w pasie do 6 c. zwężony, a u dołu do 9 cent. rozszerzony. Po brzegach stanika przyszyta jest marszczona koronka dochodząca do góry przodów; kołnierz nie schodzący się z przodu na 6 cent. wywinięty ma 10 cent. szerokości. Mankiety aksamitne przy gładkich rękawach na 6 cent. szerokie.

N. 39—41 i ryc. 10 i 11. Ubranie spacerowe z mantylą. Krój stanika N. I fig. 1—4, krój mantyli fig. 5—7.

Ryc. 10—11 i 39—40 przedstawiają suknie odrobione z kaszmiru i lekkiej materyi, które do spacerowego ubrania dopełnia mantyla z szalowemi końcami. Spódnica jedwabna oszyta jest wolantem plisowanym, 56 cent. szerokim, z pod którego wystaje podszyta riusza 7 cent. szeroka. Nad wolantem dana z przodu tunika wachlarzowa, w górze ściśle od środka na dwie strony sfałdowana, dalej szerzej się rozchodząca, a od dołu luźno puszczona, którą układa się z kawałka 100 cent. długiego, około 200 szerokiego, u dołu kulisto ściętego. W miejsce takiej tuniki, można dać krótką poprzecznie fałdowaną draperyę, jaką widzimy na ryc. 10 przy staniku z krótką baskiną, ozdobionym pasmanteryą z jedwabnego sznura. Tylną draperyę krajaną razem z plecami, dopełnia bryt prosty podany na fig. 3b. Do stanika r. 10 dodane jest z przodu ubranie złożone z szerokiej kontrafałdy i 6 wązkich fałdek, pod którem stanik zapina się na kryte haftki. Ryc. 11 przedstawia stanik kaszmirowy z bawetem, ozdobiony kamizelkowym garnirunkiem z wązkich plisowanych falbanek z materyi jedwabnej. W mantyli podanej z lewej strony na ryc. 41, trzeba naprzód zaszyć zaszewki oznaczone na fig. 5 i 6, następnie zeszywa się końce z mantylą gwiazdką do gwiazdki i od Y do Z, brzeg górny wszywa się w pasek przykrojony podług fig. 7, od spodu przyszywa się przy szwie środkowym wstążki do wiązania. Garnirunek mantyli stanowi riusza z materyi, układana sposobem wskazanym na ryc. 41 w N. 24 Tygodnika Mód.

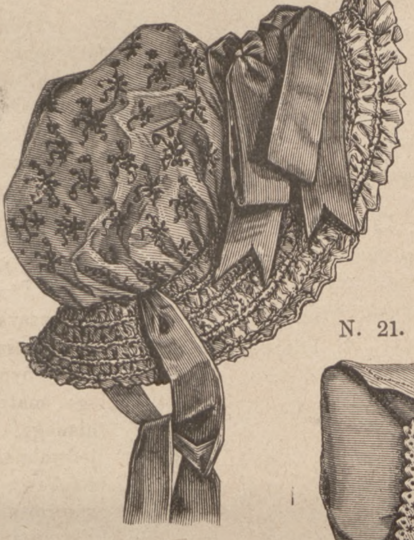


N. 22. Ubiór do pływania dla młodej panienki. Krój N. VIII, fig. 49—53.

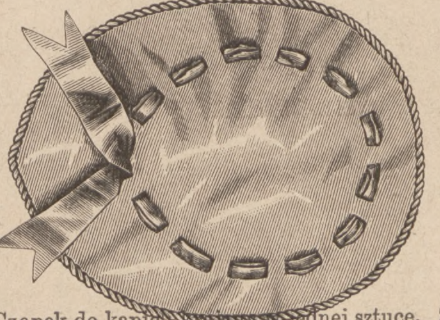


N. 23. Rękawiczka do kąpieli, zrobiona w formie woreczka z rubberstoff'u.

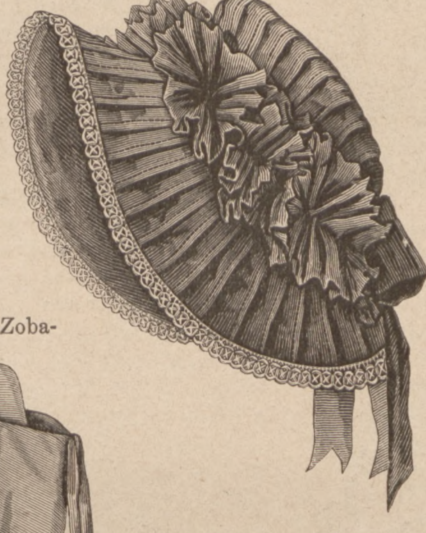
N. 24. Pantofel do kąpieli, ozdobiony wyszyciem i wyłożeniem z kanwy płóciennej. Zobaczyć próbkę wyszycia na r. 34 i 35 w N. 28. Krój pantofla N. VI, fig. 23—25.



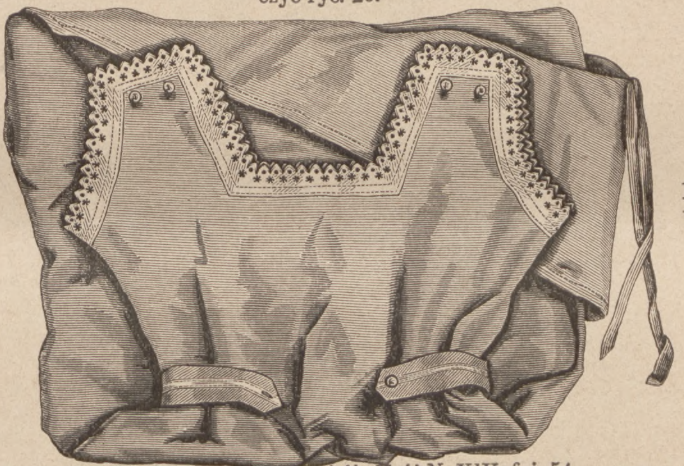
N. 25. Kapelusz z rondkiem marszczonem do kąpieli.



N. 21. Czepek do kąpieli [illegible] jednej sztuce. Zobaczyć ryc. 20.

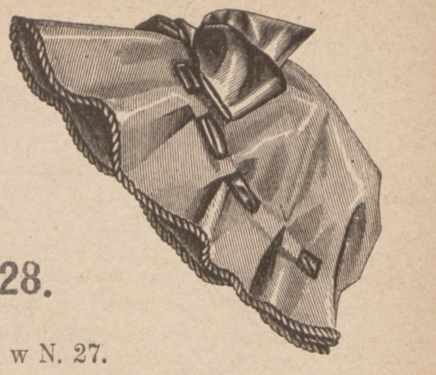


N. 26. Kapelusz stębnowany w zakładki do kąpieli. Krój N. XV, fig. 55—57.



N. 27. Koszula do kąpieli. Krój N. XIV, fgi. 54.

Opis do N-ru 28.



N. 20. Czepek do kąpieli, zrobiony z jednego kawałka. Zobaczyć model gładko rozłożony na ryc. 21.

N. 1—2. Opis przy r. 12 w N. 27.

N. 5—6. Kołnierz i mankiet gipiurowy. Deseń na arkuszu fig. 70—71.

Może być odrobiony z tasiemeczki gładkiej koronkowej, spajanej sposobem gipiurowym lub też łączonej nitkami kręconemi albo odzierganemi. Osoby wprawne w robotę szydełkową, mogą naśladować gipiurę szydełkiem podług wzorów podanych w dawniejszych N-rach Tygodnika Mód.

N. 7 i 33. Ubranie dla panienki lat 9—11. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 60—63.

Sukienka z bluzkowym stanikiem i tuniką, uszyta z materyału w paski żółte z niebieskiem ze szlakami w kratę, 12 cent. szerokiemi; bluzkę kraje się podług fig. 60—62. Na spódnicy dany wolant 42 cent. szeroki, układany w podwójne 8 cent. szerokie kontrafałdy, w odstępach po 4 cent. Wymiar brytów tuniki wypisany na fig. 63, ufałdowanie jej na sukni wskazują ryc. 7 i 33; obie trójkątne części *a* i *b* krzyżujące się z przodu, są z brzegów prostych oszyte szlakiem; górny brzeg skośny wszywa się w pasek od sukni a prosty brzeg złożony w fałdy wpuszczony w szew bocznej spódnicy. Zwierzchnia górna część prosta (*c*) skośnie przypięta w odstępie 15 c. od paska, z prawej strony zakończona kokardą z aksamitki 5 cent. szerokiej. Z tyłu upięty bryt prosty 50 cent. szeroki, 110 długi, u góry złożony w dwie kontrafałdy po 7 cent. szerokie, z boku podpięty w kilka fałd przez co u dołu tworzy się ząb szpiczasty.

N. 8. Sukienka z bluzką dla panienki lat 8—10. Krój podług ryc. 7.

Dogodna puszczona bluzka, z tego materyału co spódniczka, lub z gładkiego kaszmiru, satynki czy materyi do deseniowej spódniczki, jest bardzo używana dla małych panienek. Krając bluzkę



N. 28. Ubranie flanelkowe do kąpieli, złożone z majtek i bluzki. Krój N. III, fig. 8—13.



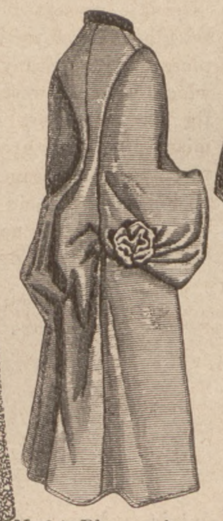
N. 29. Ubranie negliżowe. Przód do r. 25 w N. 28. Krój N. IX, fig. 30.



N. 30. Płaszcz z kołnierzem do kąpieli. Krój N. XX, fig. 68.

N. 31. Płaszcz z przemarszczaniem i fryzką. Krój N. XXI, fig. 69.

N. 32. Płaszcz z kapturkiem do kąpieli. Kroj i deseń wyszycia N. VIII, fig. 28—29.



N. 34. Płaszczyk podróżny. Zobaczyć przód na r. 33. Krój N. X, fig. 32—37.



N. 33. Płaszczyk podróżny. Zobaczyć plecy na r. 34. Krój N. X, fig. 32—37.



N. 37. Pelerynka z plisowanym wolantem. Krój N. VII, fig. 26—27.



N. 35. Kokarda do sukni ryc. 36, która także może służyć do żabota lub do głowy. Model zrobiony był ze wstążki ottoman 3 c. i z torsadki z cienkiej szneli 2 c. szerokiej.



N. 38. Stanik bawełnowy ubrany koronką i aksamitem.

podług formy fig. 60—62, trzeba dodać na długość 10 cent. na opuszczenie dolne. Rękaw zmarszczony u góry i u dołu zszywa się z jednego prostego kawałka 45 c. szerokiego, zmarszczonego u dołu w pasek 2 cent. szeroki a 28 długi. Przybranie dane ze szlaków wyszytych kolorowym jedwabiem ściegiem krzyżykowym.

N. 9—10. Fartuszek z karczkiem. Krój na arkuszu N. V, fig. 19—22.

Płótno szare lub granatowe jest najodpowiedniejsze na fartuszki zasłaniające całą sukienkę. Rycina 27—28 daje wzory szlaczków.



N. 36. Suknia ubrana rozetami z pukli i końcy. Zobaczyć ryc. 35.

N. 11. Kapelusz przybrany wielką kokardą.

Czarna słomkowa kapotka z wielkiem rondem, ma zacałe przybranie przypiętą z boku wielką kokardę, z wstążki repsowej 16 cent. szerokiej, złożoną z dwoch pukli po 15 cent. długich i z pięciu końców wyciętych w zęby 16 do 19 cent. długich. Pod puklami widać pączki różane z listkiem. Do wiązania dane podwójne końce z wązkiej aksamitki.

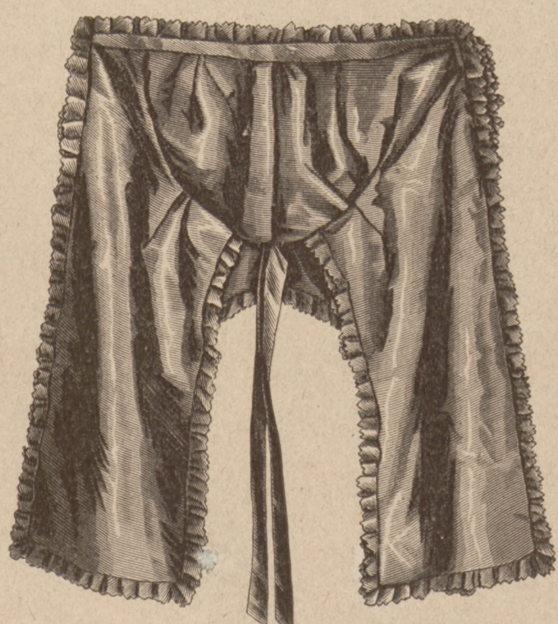
N. 12—14. Kapelusz okrągły zdobny rozetami z wstążki.

Fasonik z ciemno bronzowej słomki ma rondko podszyte aksamitem bronzowym, a przybranie z takiejże aksamitki na jedwabnym spodzie 4 i $1^1/_2$ c. szerokiej. Zastosowanie aksamitki dwojakiej szerokości wskazuje rozeta r. 12; końce spuszczone z tyłu przewleczone są między rzędami słomki i zapięte ozdobną szpilką. Ryc. 13 daje inny wzór rozety ze wstążki.

(Dn.)



N. 39. Ubranie spacerowe z mantylą, zobaczyć ubranie bez mantyli na ryc. 40, stanik na ryc. 10 i 11 a wewnętrzną stronę mantyli na ryc. 41. Krój N. I i II, fig. 1—7.



N. 41. Wewnętrzna strona mantyli do ryc. 39. Krój N. II. fig. 5—7.



N. 40. Ubranie spacerowe; zobaczyć to ubranie z mantylą na ryc. 39, stanik na ryc. 10—11.